DZIŚ: 7 gwiazd w swoim repertuarze, 11 działaczy na przesłuchaniu, bokserska lista Stamma i Żmarzlika, WIECH szuka najlepszego sportowca, Aleksandrowicz o zagranicznych piłkarzach, a Meyer o... polskich. Głuszek i Crump cieszą się z postępów naszej lekkoatletyki, Korycki znalazł... prawdziwego człowieka, Liszewska pisze o pewnej nocnej operacji, Domański o konikach, a Domaniewski oczywiście o Zakopanem. Ponadto korespondencje z ZSRR i Chin i dwa konkursy. A na 32 małych stronach duża SENSACJA: wyniki roku 1958 w 36 dyscyplinach sportowych. Razem 40 stron za dwa złote!

Numer noworoczny

PRZEGLĄD SPORTOWY

30 GRUDNIA 1958 | Nr 207—209 (3231—3233) | Rok założenia 1921 | REDAKCJA I ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. MOKOTOWSKA 24 Centrala 84241 i 84242 Dział informacji 89106 | CENA 2 złote

WYWIAD optymistyczny

Noworoczna rozmowa „PS" z WŁODZIMIERZEM RECZKIEM

PRZEWODNICZĄCY Głównego Komitetu Kultury Fizycznej **WŁODZIMIERZ RECZEK**, jest dziś w szczególnie dobrym humorze. Właśnie skończyło się ostatnie posiedzenie przed świętami, jeszcze tylko ten wywiad dla „Przeglądu Sportowego" i za kilka godzin skok na parę dni do Zakopanego. Grudzień był wyjątkowo bogaty w konferencje i narady i myśl o bliskim odpoczynku wprawia naszego rozmówcę w pogodny nastrój.

— Proszę o pytania — mówi Przewodniczący. — **Wątpię, czy potrafię Wam coś frapującego powiedzieć, ale jestem do usług.**

— Co słychać z zapowiedzianym małżeństwem sportu z turystyką. W referacie na ostatnim Plenum GKKF była o tym mowa.

— Chyba dojdzie do skutku. Pracowaliśmy właśnie ostatnio nad projektem utworzenia wspólnego Komitetu dla obu tych dziedzin z tym, że naturalnie w ramach Komitetu byłyby osobne organy dla sportu i dla turystyki. Projekt nasz będzie teraz dyskutowany przez rząd i w Sejmie. Planowane małżeństwo powinno szczególnie wyjść na zdrowie sportowi rekreacyjnemu, bo turystyka ma liczne, interesujące masowego odbiorcę możliwości.

— Skoro ruszyliśmy ten temat — jakie są perspektywy w roku 1959 dla sportu masowego?

— Myślę, że lepsze niż dotychczas. Ten temat, jak wiadomo, stawiamy w kwietniu na specjalnym plenum GKKF. Sta-

Jaki będzie ten Nowy Rok? Sądząc po minach czołowych polskich długodystansowców i ich trenera — bardzo dobry. A więc drżyjcie przeciwnicy Kazimierza Zimnego, Jerzego Chromika, Zdzisława Krzyszkowiaka, Stanisława Ożoga i Mariana Jochmana (na zdjęciu od lewej do prawej). Dumnie w przyszłość patrzy u dołu zdjęcia trener Tadeusz Kempka.

Fot. „PS" E. Warmiński

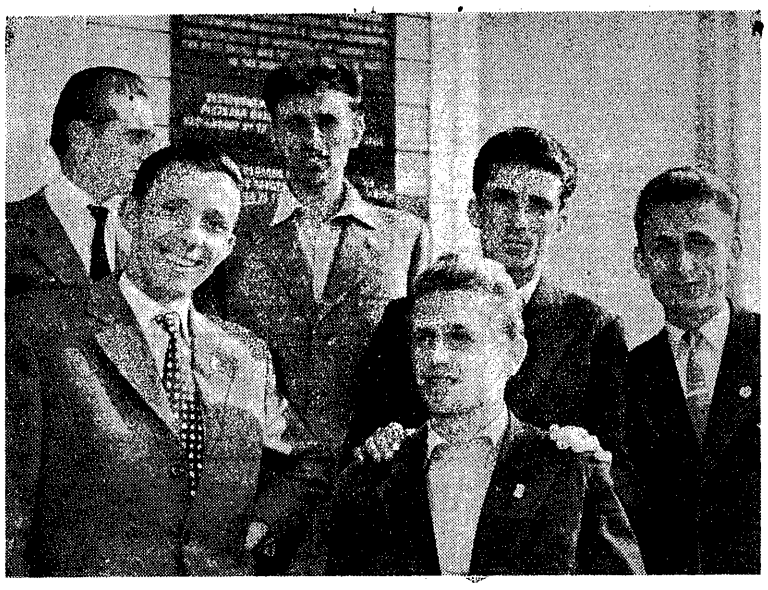

1924 PS WARSZAWA

STARY, ODCHODZĄCY ROKU!

Ciężko nam będzie rozstać się z Tobą. Jedni nazywali Cię Rokiem Urodzaju, a my chcielibyśmy Cię ogłosić początkiem pięknej, wielkiej ery, w której sport polski osiągnie nieprzewidziane jeszcze sukcesy.

Obfite plony zebraliśmy pod Twoim panowaniem. Nasi sportowcy zdobyli 5 tytułów mistrzów świata, 8 tytułów mistrzów Europy, 10 razy ustanawiali rekordy, których nikt na kuli ziemskiej nie był w stanie osiągnąć.

Jesteśmy Ci wdzięczni Stary Roku za to, iż nie skąpiłeś uśmiechów swym poddanym, dzięki czemu wszyscy działacze, trenerzy, sędziowie i zawodnicy pracowali z większą ochotą, niż poprzednimi laty, iż działalność na niwie sportowej sprawiała im większą przyjemność, niż kiedykolwiek dotychczas.

Chwalą Cię mistrzowie świata i Europy, chwalą cię panowie z brzuszkami i panie, które chciały nabrać linii, bo pod Twoim sławnym panowaniem stale powiększały się możliwości uprawiania sportu dla mistrzów i skromnych amatorów ruchu, gimnastyki, wycieczek, wypoczynku.

Nie wszystko jednak udawało się w Twojej kadencji. Nie będą Cię chwalić piłkarze i hokeiści, wiele kłopotów mieli szermierze, nie podobałeś się też kilku innym reprezentantom różnych dziedzin sportu. Ale przecież jeszcze się taki nie narodził, co by wszystkim dogodził. Może raczej ci niezadowoleni, miast zganiać wszystko na Ciebie, sami uderzą się w piersi i przyznają, że to nie Rok Urodzaju był winien?

Żegnamy Cię, Stary Roku i sądzimy, iż na spokojnej emeryturze będziesz wspominał, że w sportowcach i działaczach polskich miałeś wdzięcznych poddanych.

WITAJ NOWY ROKU!

Wielką i bogatą spuściznę przejmujesz po swoim poprzedniku. Powinieneś wzbogacić osiągnięcia, powinieneś pomnożyć listę rekordzistów i mistrzów świata i Europy, wywodzących się z Polski.

Oczekujemy, iż w ciągu 365 dni Twoich rządów dokonanych będzie wiele prac, które nie zostały podjęte, albo dopiero wszczęte za Twojego poprzednika.

Liczymy, iż będzie Ci dużo zawdzięczać młodzież szkolna, która z utęsknieniem oczekuje lepszych warunków uprawiania sportu. Z wielkimi nadziejami wita Cię Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej, spodziewające się dalszego rozwoju. Z utęsknieniem wyglądają Cię piłkarze, pragnący nareszcie wyjść z głębokiego impasu. Kasy GKKF i związków sportowych z wielką nadzieją oczekują, że napełnisz je dodatkową gotówką, która szerzej pozwoli rozwijać działalność sportową. Mają do Ciebie wielkie zaufanie bokserzy, pragnący odzyskać w Lucernie prymat, stracony na rzecz lekkoatletyki. Lekkoatleci natomiast sądzą, iż bezsporne pierwsze miejsce w Europie będzie podarunkiem, jaki im Ty złożysz.

Wszyscy są pełni zapału i ochoty, chcą pracować, chcą rozwijać sport Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Będziesz rokiem III Zjazdu Partii, a więc wielkiego wydarzenia w życiu każdego Polaka. Będziesz więc rokiem dalszego postępu, rokiem wielkich możliwości, śmiałych perspektyw i planów, rokiem nowych sukcesów i osiągnięć.

Życzymy Tobie, Nowy Roku, byś spełnił wszystkie nasze życzenia, by biało-czerwone sztandary jeszcze dumniej powiewały na najwyższych masztach wszystkich stadionów, by następnego 31 grudnia bilans naszych osiągnięć wypadł jeszcze okazalej, niż w tym dobrym Starym Roku.

Wszystkim:

Sportowcom

Działaczom

Czytelnikom

i Sympatykom „PS"

w kraju i za granicą

— obfitego w doskonałe wyniki

pomyślnego w pracy

i szczęśliwego w życiu osobistym

Nowego Roku 1959

życzy z całego serca zespół

PRZEGLĄDU SPORTOWEGO

Następny numer „PS" ukaże się 3 stycznia

Włodzimierz Reczek rozmawia z „PS"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

ramy się zarówno w przygotowaniu materiałów jak i w toku samego posiedzenia wyjść poza krąg ściśle sportowy i przyciągnąć do współpracy wszystkie zainteresowane resorty (Oświatę, Zdrowie, Obronę itd.). Nasze (GKKF) możliwości w tej dziedzinie są niemal wyczerpane, a tymczasem wzrost ludności i wzrost dochodu narodowego wskazują na potrzebę uruchamiania nowych środków.

— A jaka jest wasza ocena minionego roku pracy TKKF?

— Towarzystwo zrobiło w 1958 r. duży krok naprzód. Zdobywa ono wyraźnie zaufanie i ma konkretne osiągnięcia. Nie mamy tu ambicji bicia rekordów statystycznych i nie gonimy za cyframi. Jednak budżet TKKF wzrasta i wzrastają jego możliwości. Wróżę tej instytucji dziesiątki lat życia. W sumie przy pomocy naszej, CRZZ, LZS i organizacji młodzieżowych w sprawie rozwoju masowego sportu powinniśmy posunąć się naprzód.

— Wielki sport jest zdaje się mniej kłopotliwy?

— Jakieś kłopoty są wszędzie w życiu. Wielki sport rozwija się przecież nie całkiem równomiernie — pewne dyscypliny odstają i trzeba im pomagać. Na ogół jednak z wyników czołówki jesteśmy zadowoleni, a także współpraca GKKF ze Związkami Sportowymi układa się coraz lepiej.

— Właśnie jak w praktyce zdaje egzamin nowy model, jak wygląda jego docieranie się w życiu?

— Trzymaliśmy się zasady, aby nie wkraczać nigdzie „na siłę" i wykazać zawsze maksimum cierpliwości. Zresztą w olbrzymiej większości wypadków nie było powodów do ingerencji, a praca układała się harmonijnie. Parę związków miało trudności przede wszystkim natury organizacyjnej (zabrakło im silnej, operatywnej władzy), **co odbijało się na poziomie i wynikach. Jestem jednak na przyszłość optymistą. Dobre walne zebranie piłkarzy, zakończenie sporów wśród szermierzy** (którzy jednak nie umieli załatwić sprawy mjr. Keveya), **pożyteczna dyskusja z pływakami, to przykłady uzyskanych postępów, tam gdzie było słabiej z robotą. Przy dobrej woli, której nie brak, wszędzie się można dogadać.**

— Nowy rok zaczynamy więc pod znakiem optymizmu?

— Naturalnie tak.

— Dziękujemy za rozmowę i życzymy serdecznie Przewodniczącemu Reczkowi od zespołu Przeglądu Sportowego wszystkiego najlepszego.

Wraz z wzajemnymi życzeniami dla naszej redakcji Przewodniczący prosi o przekazanie noworocznych życzeń od GKKF i od niego osobiście dla wszystkich sportowców, działaczy, trenerów, nauczycieli wf, kibiców i sympatyków sportu oraz Czytelników „PS".

— A może jest jakieś specjalne życzenie nie tyle dla prasy, co do prasy?

— Liczymy na Waszą pomoc tak, jak w roku bieżącym. Musimy dalej pracować nad uporządkowaniem zagadnień organizacyjnych, zabrać się do zaniedbanych ostatnio zagadnień wychowawczych w sporcie i wreszcie mobilizować opinię w kierunku zwiększenia środków na potrzeby masowego wychowania fizycznego, zwłaszcza w szkołach.

Jeszcze raz dziękujemy za wywiad i życzymy Przewodniczącemu miłego odpoczynku.

Rozmawiał
Edward Strzelecki

„PRZEGLĄD SPORTOWY"
Wydawnictwo „PRASA SPORTOWA"
Telefony: centrala 84241 i 84242 oraz bezpośrednie — Redaktor Naczelny i Sekretariat — 89116, Sekretarze Redakcji 82604, Dział Informacji 89106, Dział Zagraniczny 89666. Redaktor Naczelny przyjmuje w dni powszednie w godz. 12—13.
Redaguje Kolegium w składzie: Grzegorz Aleksandrowicz (sekretarz red.), Lech Cergowski, Edward Strzelecki (redaktor naczelny), Witold Szeremeta (sekretarz red.) Jerzy Zmarzlik (z-ca nacz. redaktora).
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Prenumeratę krajową przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Prenumeratę zagraniczną „PS" — Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Dział Eksportu W-wa, ul. Wilcza 46. Cena prenumeraty w kraju (za granicą) miesięcznie: 12,80 (17,95), kwartalnie: 33,40 (53,80), półrocznie: 76,80 (107,60, rocznie: (215,20).
Zakłady Graficzne „Domu Słowa Polskiego"
Zam. 7803-B A-30

DOKOŃCZENIE ARTYKUŁU W. MEISLA O ARSENALU ZAMIEŚCIMY W NASTĘPNYM NUMERZE „PS".

Fot. „PS" M. Szymkowski

CHIŃSKI SPUTNIK gotuje się do lotu

Autor tego artykułu, Jan Rowiński jest polskim studentem, uczącym się na jednej z chińskich wyższych uczelni. Jego korespondencja, jest pierwszą tego typu publikacją w „PS" na temat sportu w zaprzyjaźnionym, choć tak bardzo od nas odległym kraju. Mamy obiecane następne.

PEKIN, *w grudniu 1958 r.*

PAMIĘTACIE jak wielkie wrażenie, ile zamieszania na świecie zrobił maleńki jasny punkcik, mknący po przestworzach i nadający w regularnych odstępach sygnały — pierwszy radziecki sputnik?

Od tego czasu stał się on symbolem nie tylko zwycięskiego wkroczenia w przestrzeń kosmiczną, ale i ogromnego wstrząsu, który zdumiewa świat w chwili gdy się tego jak najmniej spodziewa.

Myślę, że w bardzo niedługim czasie staniemy się świadkami chińskiego sportowego sputnika! Sport chiński stanie w szeregu pierwszych potęg świata!

Znajomość rozwoju chińskiej kultury fizycznej w naszym kraju jest niewielka, opiera się na przypadkowo zamieszczonych w prasie notatkach... a rzecz jest rzeczywiście godna najwyższej uwagi.

Dawne Chiny nie znaczyły nic w sporcie światowym, co więcej nawet w Azji były kopciuszkiem, mimo że miały do dyspozycji tak bogaty materiał ludzi, jakim nie mogło się poszczycić żadne z mocarstw sportowych. Stary przegniły reżim miał tyle wstrząsających nim problemów, że rozwój kultury fizycznej (nawet w b. elitarnym pojęciu), był mu zupełnie obcy.

Trzeba było zacząć wszystko od początku... Sytuacja była podobna do pustego pola, na którym w najbliższym czasie ma powstać wielkie miasto, do białej karty, na której nie napisano żadnego hieroglifu.

Nie było dosłownie nic: ani instruktorów, ani urządzeń, ani bazy, ani tradycji, brak było podstawowego sprzętu... byli tylko zapaleńcy, którzy w marzeniach widzieli już dziesiątki milionów zdrowych, opalonych ludzi na pływalniach, bieżniach, boiskach, stadionach, sportowców z kruczo czarnymi włosami w czerwonych koszulkach z herbem ChRL na piersiach, zwyciężających na wielkich międzynarodowych zawodach. Na razie leżało to w sferze marzeń.

DOGONIĆ ŚWIAT!

KC KPCh postawił przed sportem chińskim wielkie zadanie. Trzeba w jak najkrótszym czasie przebiec dystans, na którego pokonanie sport światowy potrzebował ponad pół wieku.

Zasadniczą cechą rozwoju kultury fizycznej w ChRL jest jej masowość. Pisano już wiele w Polsce o gimnastyce w Chinach. I rzeczywiście, gdybyście mogli nagle o godz. 10-tej znaleźć się nad Chinami, uderzyłby was niecodzienny widok... Miliony ludzi z fabryk, szkół, instytucji przez 10 minut gimnastykują się w takt muzyki z głośników. Wszyscy: młodzież i starcy, dyrektorzy i robotnicy, studenci i profesorowie ćwiczą z jednakim zapałem.

Przewędrowałem już duży kawał Chin i nie spotkałem jeszcze miejsca, gdzie by nie było boiska do koszykówki. Czy to w maleńkiej wiosce prowincji Gon-szu, czy na wysokości 3600 m na świętej górze O-mej, w gorącym Kantonie i w spowitej dymem Mandżurii, wszędzie uwijają się między koszami ludzie ubrani w robocze kombinezony, żołnierskie mundury, czy też w jaskrawe kostiumy sportowe.

Liczba koszykarzy w Chinach, według niepełnych danych, sięga 300 milionów! Co trzeci Chińczyk pasjonuje się tą grą.

Zajęcia sportowe są obowiązującym przedmiotem nauczania od I kl. szkoły podstawowej do drugiego roku wszystkich wyższych uczelni.

Wszyscy, którzy przejawiają talent, zapał i pracowitość mają bardzo ułatwione możliwości dostania się do AWF lub Techników KF.

NIE SĄ SAMI

Bardzo dużą pomoc okazały sportowi chińskiemu bratnie kraje, a przede wszystkim Związek Radziecki i Węgry. Nie zabrakło tu też naszego kraju. (Dziś Verey uczy abecadła wioślarskiego w Szanghaju).

Dzięki licznym spotkaniom międzynarodowym rosła klasa sportowa. Chińczycy świetnie pamiętają wizyty naszych sportowców... koszykarzy, szybowników, tenisistów, strzelców itp.

Czy kilka lat temu Chiny liczyły się np. w ping-pongu, pływaniu, podnoszeniu ciężarów, strzelectwie sportowym, siatkówce, koszykówce, gimnastyce...?

Jedną z głównych przyczyn rozwoju kultury fizycznej jest olbrzymie budownictwo sportowych urządzeń. **Nie tylko chodzi tu o piękne nowoczesne obiekty sportowe Pekinu, Szanghaju, Kantonu, Czungczinu i innych wielkich miast. Większość urządzeń sportowych powstaje w czynie społecznym, każda fabryka, każda wieś, budowa posiada swe boisko. W Chinach nie zostanie zbudowana żadna większa uczelnia, jeśli na jej terenie nie można zbudować boiska i urządzeń sportowych.**

Duży wysiłek poświęca się popularyzacji wiedzy sportowej przez masowe wydawnictwa.

Przy tym naprawdę warto podkreślić olbrzymią pracowitość, zdyscyplinowanie i entuzjazm do pracy wśród samych sportowców.

Na tej bazie nasi chińscy przyjaciele ruszyli ostatnio do szturmu, którego celem jest uzyskanie wysokiego poziomu.

Rokiem przełomu ma być 1959 rok — 10 rocznica powstania ChRL. KC KPCh wezwał sportowców do doścignięcia i przewyższenia poziomu amerykańskich rekordów sportowych. Nie wierzycie? Ja też nie wierzyłem dopóki sam nie zobaczyłem co się dzieje na boiskach. To nie jest zadanie jednego roku, ale w perspektywie 5 — 10 lat jestem pewny, że jest realne do wykonania.

CEL — REKORDY ŚWIATA

Pierwszym krokiem do realizacji tego celu ma być pobicie 26 rekordów świata do końca przyszłego roku. Zakres obejmuje wszystkie dziedziny sportowe, głównie kolarstwo, lekkoatletykę, podnoszenie ciężarów, pływanie, strzelectwo itd. (Dla porównania do chwili obecnej pobito 9 rekordów świata).

Oto dalsze zadania na rok przyszły.

Państwową Oznakę Sportową „Praca i Obrona" I i II stopnia ma zdobyć 200 milionów osób!!! (w chwili obecnej odznakę tę posiada — 6.560.858 osób).

Liczba kwalifikowanych sportowców (tj. I, II i III kl. sportowej) ma wzrosnąć do 80 milionów (obecnie 673.800 osób). Mistrzów sportu powinno być minimum 800, obecnie 309.

Wielka ogólnochińska spartakiada będzie jedną z najważniejszych uroczystości dla uczczenia 10 rocznicy powstania ChRL. Pierwszy raz w historii Chin zostaną rozegrane zawody na tak ogromną skalę. Sportowa walka będzie toczyć się w 47 dyscyplinach. Weźmie w niej udział 14 tysięcy sportowców, reprezentujących wszystkie narodowości i wszystkie prowincje wielkiego kraju. Miejscem spartakiady ma być Pekin. Przyjmie on gości na wspaniałym stadionie, mogącym pomieścić 85 tys. widzów. Obok stadionu powstaje wielki, najnowocześniejszy kombinat sportowy. Budowniczowie stadionu postanowili na pół roku przed terminem oddać ten obiekt.

Na stadionach, boiskach całych Chin, jak długie i szerokie, panuje olbrzymi ruch. Szturm na rekordy rozpoczął się. Sportowy „sputnik" chiński gotuje się do lotu.

Jan Rowiński

Współpraca przez rywalizację

Rok amerykańsko-radzieckich zmagań gigantów sportu

B. Beknazar-Juzbaszew
kierownik działu zagranicznego „Sowieckiego Sportu"

NA przebytą już drogę zawsze warto się oglądnąć zwłaszcza kiedy zbliża się Nowy Rok. Co nowego przyniósł kończący się rok 1958? W sporcie od razu się nasuwa pytanie: **jak przebiegała tradycyjna rywalizacja dwóch największych sportowych „mocarstw" — ZSRR i USA.**

1958... Melbourne już odeszło w przeszłość — przed nami Rzym. To był rok na przełomie dwóch Olimpiad. Chociaż nie było w tym okresie tak potężnych zawodów jak Igrzyska Olimpijskie, był to jednak rok dalszego rozszerzenia naszych sportowych kontaktów, rok licznych spotkań sportowców ZSRR i USA. Mamy więc znowu trochę materiału dla oceny jak przebiega rywalizacja pomiędzy radzieckim i amerykańskim sportem.

Jeżeli po Olimpiadzie w Helsinkach Amerykanie mogli, podliczając w różny sposób punkty, wykazywać, że ich rywalizacja na Igrzyskach ze Związkiem Radzieckim zakończyła się remisem lub też nawet ich zwycięstwem, to już w Melbourne tej możliwości nie mieli. W nieoficjalnej ogólnej punktacji Związek Radziecki uzyskał „czyste zwycięstwo". Od tego czasu minęły 2 lata. Analizując ostatni kończący się rok 1958 widzimy, że Melbourne może się powtórzyć i w Rzymie.

Jeżeli nie brać pod uwagę zgryzot naszych kibiców piłkarskich, to można stwierdzić, **że w 1958 r. sportowcy Związku Radzieckiego w żadnej dyscyplinie sportu nie oddali zdobytych pozycji.** W zaciętych międzynarodowych bojach wykazali swoją przewagę radzieccy gimnastycy, szachiści, ciężkoatleci, zapaśnicy, pięcioboiści. Cieszy nas, że lekkoatleci również zrobili pewien postęp, że radzieccy szermierze coraz wyraźniej podnoszą swój poziom. Przyjemnie nam było np. dowiedzieć się, że niedawno młodzi Anglicy na cześć znakomitego radzieckiego pięcioboisty utworzyli „KS Nowikow".

W mijającym roku odbyli po Związku Radzieckim zwycięskie tournée koszykarze Stanów Zjednoczonych. Okazało się, że my nadal jeszcze pozostajemy w tyle w tej dziedzinie sportu. Ale takie same zwycięskie tournée odbyli po USA nasi ciężarowcy. Chcę jednak podkreślić inny aspekt tej sprawy. Przegrywając z amerykańskimi wirtuozami koszykówki myśmy się od nich uczyli, a wygrywając z Amerykanami w podnoszeniu ciężarów, uczyliśmy swoich amerykańskich kolegów. Nasza koszykówka bez wątpienia podniosła dzięki temu swój poziom, a amerykańscy ciężkoatleci również — jak to wykazały niedawne mistrzostwa w Sztokholmie — stali się silniejsi. To właśnie jest — moim zdaniem — współpraca przez rywalizację.

RYWALIZACJA PRZYNIOSŁA OWOCE

Szczególne miejsce zajął w 1958 r. lekkoatletyczny mecz ZSRR — USA, który dziennikarze z pewnym patosem, ale jednak sprawiedliwie nazywali „meczem gigantów", lub też „meczem stulecia". Przed spotkaniem nasza gazeta „Sowiecki Sport" przeprowadziła ankietę wśród statystyków lekkiej atletyki. **Prawie wszyscy prorokowali ogólne zwycięstwo Związku Radzieckiego, jednak dla wszystkich było jasne, że Amerykanie mają silniejszą męską lekkoatletykę, a my kobiecą. Wiele proroctw się jednak nie spełniło i radzieccy lekkoatleci i amerykańskie lekkoatletki wystąpili znacznie lepiej, niż przewidywano. A więc i tutaj nasza współpraca — rywalizacja przyniosła swoje owoce. Radzieccy lekkoatleci mogą się czegoś nauczyć od Amerykanów, a na rozwój kobiecej lekkiej atletyki w USA bezpośrednio wpływają sukcesy radzieckich zawodniczek.**

Stadion w Łużnikach istnieje od niedawna. Kiedy na jego bieżni błysnęła „czarna błyskawica" — Murchison, moskwiczanie zrozumieli, że i na tej bieżni można uzyskać wynik 10.2. Wspaniały impuls dla naszych młodych sprinterów!

A czyżby padł na moskiewskim stadionie rekord świata w dziesięcioboju, gdyby wspaniały atleta Rafer Johnson nie „ciął się" z radzieckim fenomenem Wasylem Kuźniecowem?

Łużniki nie oglądałyby i drugiego rekordu świata, gdyby Olega Rjachowskiego nie uskrzydliła walka z Amerykanami.

Jednak nasza rywalizacja rodzi nie tylko współpracę w dziedzinie sportu, nie tylko pomaga w ustanawianiu rekordów. Ona ma swój bardziej głęboki sens.

Lepiej spotykać się na polach hokejowych, niż na polach bitew. Lepiej współzawodniczyć na boiskach koszykówki, niż na platformach wyrzutni rakiet. I muzyka sportowych marszów bardziej jest przyjemna, niż ryk bombowców.

Przypominam sobie taki epizod.

SYMBOLICZNY RYSUNEK E. SHELBY

...Wieczorem po zakończeniu meczu ZSRR — USA przyjechałem do Hotelu Leningradzkiego, gdzie mieszkali Amerykanie. Nasza rozmowa odbywała się w bardzo swobodnej i miłej atmosferze. W pokoju skoczka w dal Ernie Shelby, gdzie siedzieliśmy powstał swojego rodzaju amerykański klub. Potężna Earlene Brown siedziała za fortepianem i palcem wystukiwała prostą melodię. Ira Murchison i Eddy Collymoore śpiewali tę piosenkę. Dwoje innych z powagą pochłaniało jabłka z Ałma Aty, a Glen Davis siedział na oknie i bez powodzenia proponował wszystkim po kolei, aby zagrali z nim w karty. Jednym słowem Amerykanie czuli się w Moskwie jak u siebie w domu.

Każdy z nich korzystał z możliwości, aby wtrącić się do wywiadu, którego udzielał Ernie Shelby.

— On nie jest mistrzem w opowiadaniu — powiedziała wesoła Earlene Brown — on jest mistrzem od rysowania.

Murchison przyniósł usłużnie Ernie ołówek, ktoś inny podał papier i u Shelby rozpoczęły się męki tworzenia.

Jednak nie długo Ernie gryzł ołówek. Połączył on dłonie Eddy Collymoore i naszego tłumacza i szybko je naszkicował. Następnie pod każdą ręką narysował flagi ZSRR i USA.

Nie przypadkowo potem ten rysunek, opublikowany w „Sowieckim Sporcie", przedrukowało wiele zagranicznych gazet. Był naprawdę symboliczny. Wyrażał wielkie znaczenie spotkania lekkoatletów ZSRR i USA w walce o pokojową współpracę narodów.

Lekkoatletyczny mecz stulecia wygraliśmy 2 pkt. Jest to sukces, którego nie zmienią obliczenia pewnych „polityków sportowych", którzy dorachowali się amerykańskiego zwycięstwa za pomocą nieliczenia konkurencji kobiecych.

A co nam przyniesie nadchodzący rok? To będzie rok rewanżowych wizyt radzieckich i amerykańskich sportowców i należy się spodziewać, że w Filadelfii w środku lata 1959 roku będzie równie miły przyjacielski klimat, jak rok przedtem na Łużnikach, że Kuźniecow tak samo przyjaźnie obejmie Johnsona, niezależnie od tego, kto z nich tym razem zwycięży. I w jakimś pokoju filadelfijskiego hotelu amerykański dziennikarz zobaczy radzieckich sportowców, czujących się jak u siebie w domu.

Niechże więc w Nowym Roku sportowa walka będzie jeszcze gorętsza i bardziej zacięta i niech coraz bardziej gorętsza będzie nasza sportowa przyjaźń. Niech w imię współpracy rozwija się rywalizacja!

6 pytań i 6 odpowiedzi prezesa Kędziorka

ROK 1958 był pierwszym „okrągłym" rokiem, działalności Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. Jego prezes p. **FELIKS KĘDZIOREK** odpowiada z tej okazji stylem telegraficznym na 6 telegraficznych pytań „PS".

1. Największe osiągnięcie TKKF w roku minionym?

— Powstanie ponad 700 zarejestrowanych ognisk statutowych i zakładowych.

2. Jaką formę dotychczasowej pracy uważa Pan za najlepszą?

— Największym powodzeniem cieszył się zorganizowany racjonalny wypoczynek na świeżym powietrzu. Uważam jednak, że w naszej pracy najważniejszą rzeczą jest wszechstronność — tzn. dostosowanie form pracy do warunków i pory roku.

3. Liczba, którą chce się Pan pochwalić?

— Ponad 1000 ślizgawek przygotowywanych w całym kraju.

4. Najlepszy okręg TKKF w Polsce?

— Województwo gdańskie.

5. Czy widzi Pan jakieś zasadnicze zaniedbania?

— Opóźnienie rozwoju na terenach zaniedbanych szczególnie pod względem sportowym, które powinniśmy otoczyć wzmożoną troską i opieką.

6. Jakie Pan ma życzenia dla TKKF na rok 1959?

— Aby istniejące ogniska mogły rozszerzyć swą działalność, tak, by społeczeństwo bez dotychczasowych ograniczeń mogło korzystać z ruchu na świeżym powietrzu.

Pytania zadawała M. L.

NOCNA OPERACJA

JAK się ustanawia spadochronowe rekordy świata? Oczywiście skacząc z samolotu na ziemię, przy pomocy, rzecz jasna, spadochronu. Tyle wie każdy laik. Tyle wiedzieliśmy i my w redakcji. Jak również to, że pod koniec minionego sezonu kilku warszawskich spadochroniarzy wpisało swe nazwiska na listę rekordzistów świata. Trochę więcej dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, gdy pewnego dnia przyszedł do redakcji na naszą prośbę jeden z nowych rekordzistów p. Witold Tracz, by opowiedzieć nam szczegółowo o swym wyczynie. Opowiadanie było ciekawe i z zainteresowaniem przysłuchiwało mu się paru redakcyjnych kolegów. Może więc zainteresuje naszych Czytelników.

Skoki nocne są szczególnie trudną i wymagającą hartu konkurencją. Grupa warszawskich spadochroniarzy długo i starannie przygotowywała się do ataku na rekordy świata w tej specjalności. Przygotowywała się jak do bitwy, której miejsce, czas i plany strategiczne trzeba było dokładnie wyznaczyć i opracować.

Jako miejsce wybrano rejon Nasielska, gdzie znajduje się niewielkie opuszczone lotnisko. Przeznaczono je na główną bazę, gdzie zainstalowane zostały reflektory, środki transportowe, radiostacja, lekarz z sanitarką itp. I to nie tylko w dniu samej batalii, lecz także przy wszystkich skokach treningowych. Skoki te rozpoczęły się już od lipca, gdyż drobiazgowa znajomość terenu była podstawowym warunkiem pomyślnej realizacji planu.

Skoki treningowe wykonywano stale z tego samego samolotu z tą samą załogą. Samolot polskiej konstrukcji CSS-12, pilotował znany pilot oblatywacz Instytutu Lotnictwa, rekordzista świata na samolocie „Bies" — Andrzej Abłamowicz. Start odbywał się zawsze z lotniska Okęcie.

NOCNY START

Termin „operacji" wyznaczono orientacyjnie na jesień. Ale długo trzeba było czekać, aż przyjdzie pogodna, piękna noc — taka właśnie, jak ta z 30 na 31 października.

Późnym popołudniem trójka odważnych ludzi — Romana Skatulska, Maria Wojtkowska i Witold Tracz, była już na Okęciu. Środki transportowe i całe techniczne zaopatrzenie wysłano przedtem. Spadochroniarze, oczekując na ostatni komunikat meteo, zaczęli się powoli przygotowywać.

Przygotowanie spadochroniarza do skoku wysokościowego nie jest wcale prostą sprawą. Samo ubieranie zajmuje przynajmniej pół godziny. Czegoż taki człowiek na siebie nie nakłada? Ciepła bielizna, dressy, sweter, kombinezon na podpince, futrzane spodnie i kurtka, dwie pary rękawiczek, futrzane buty. Na głowę ciepła czapeczka i futrzany chełmofon czyli lotnicza pilotka ze słuchawkami. Na to wszystko dwa spadochrony — właściwy z tyłu i zapasowy z przodu, aparat tlenowy, podmontowany do spadochronu zapasowego, maska tlenowa na twarz. Do tego dochodzą różne nieodzowne akcesoria — sekundomierz przymocowany do lewej rękawicy, wysokościomierz na spadochronie zapasowym, do boku barograf dla dokumentacji (bez tego rekord nie byłby ważny), nóż do ratowania się z opresji w razie wplątania się w linki, rakietnica do sygnalizacji po lądowaniu, we wszystkich kieszeniach rakiety. O ubraniu się i przygotowaniu samemu oczywiście nie ma mowy. Potrzebne są dwie osoby do pomocy.

Jeszcze przed skończeniem tej „toalety" przyszedł komunikat meteo, na podstawie którego wyznaczono, wspólnie z pilotem, miejsce wyskoku, obliczając szczegółowo szybkość i kierunek znoszenia z uwzględnieniem siły i kierunku wiatru. Uzgodniono jeszcze z Abłamowiczem kierunek nalotu i metody sygnalizacji w razie zerwania łączności radiowej i — wszystko było gotowe.

Start — godz. 20.11. Po 20 min. samolot był już nad rejonem skoków, nawiązawszy łączność z bazą. Na lotnisku świeciły i migotały reflektory. Widoczność była doskonała.

PIERWSZY REKORD

Samolot nabierał wysokości. Przy 4 tys. m włączono pokładowe aparaty tlenowe. W kabinie, oświetlonej słabym światełkiem, panowało pełne napięcia oczekiwanie. Wszyscy odczuwali już lekki niedobór tlenu, na który nie poradzą najlepsze nawet aparaty.

Pierwsza skakała Skatulska. Abłamowicz dał jej znak na wys. 7.800 m. Romana miała skakać z opóźnionym otwarciem spadochronu. Na sygnał pilota wstała, odłączyła się od pokładowego aparatu tlenowego, przechodząc na spadochronowy. Podeszła do otwartych drzwiczek, obejrzała się na towarzyszy i wyskoczyła. Przez parę minut panowało w kabinie nerwowe skupienie — był to pierwszy nocny skok kobiety w Polsce — z dużej wysokości, z dużym opóźnieniem. Po blisko trzech minutach Abłamowicz obrócił się do pozostałych w kabinie i gestem ręki dał znać, że wszystko w porządku — z ziemi zameldowano mu o lądowaniu Romany. A więc absolutny rekord Polski w skoku z opóźnieniem padł!

WYŻEJ, WYŻEJ!

Pozostała dwójka skakać miała z natychmiastowym otwarciem spadochronu, szykowała się jednak na rekordy świata. Trzeba było jeszcze większej wysokości. Samolot zrobił jeszcze jedno okrążenie i na 8150 m wszedł na właściwy kurs. Wojtkowska i Tracz byli już gotowi do opuszczenia kabiny, wpatrując się w plecy pilota. Wreszcie z dołu przyszedł radiowy znak, Abłamowicz kiwnął ręką.

Podeszli do drzwiczek. W dole, nieco z tyłu za samolotem, widać było dwie krzyżujące się smugi reflektorów na lotnisku. Poza tym nic więcej — ziemia pokryta była lekką nocną mgłą, jakby skąpana w mleku. Nocne niebo, z ziemi, wydające się barwy jasnogranatowej, prawie szarawo-niebieskie, stąd miało kolor najintensywniejszego, czarnego niemal granatu. Na nim bardzo dużo gwiazd — tych, których z ziemi nawet nie widzimy. Była pełnia.

Oboje stali dłuższą chwilę przy drzwiach, wiedząc, że znoszenie powinno wynieść około 25 km. Z ziemi mieli podać jeszcze jeden sygnał. Tracz zaczął się już niepokoić, że sygnał ten nie nadchodzi. Wreszcie Abłamowicz odwrócił się i kiwnął ręką.

Marysia skoczyła pierwsza. Tracz odczekał jeszcze minutę i poszedł w jej ślady, w oświetloną księżycem ciemność, w mgłę. Była godzina 21.32.

LOT WE MGLE

Targnął nim lodowaty pęd powietrza — szybkość przy wyskoku wynosi ponad 300 km/godz. temperatura tu, w górze — 36 stopni. Po 5 sek. szarpnął za kurczowo trzymany w ręku uchwyt, przechodząc do pozycji nogami w dół (skacze się „na głowę"). W chwili otwierania się spadochronu poczuł niesłychanie silne szarpnięcie, charakterystyczne przy skokach z wielkich wysokości. Za parę sekund wielka biała czasza bujała się nad głową.

Pierwsza rzecz — spojrzenie do góry, czy spadochron otworzył się prawidłowo. Wszystko było w porządku. Chciał poprawić się w uprzęży, w której było mu jakoś wyjątkowo niewygodnie, ale nie miał siły się ruszyć. Po prostu zwisał bezwładnie na pasach. Nie potrafił zapobiec obrotom spadochronu, który wolniutko wirował w czasie opadania. Tak już więc zostało.

Inna rzecz była bardziej niepokojąca. W pewnej chwili poczuł lodowaty chłód w okolicach szyi. Pilotka była odpięta na skutek pęknięcia paska przy szarpnięciu w momencie otwarcia spadochronu. Poczuł mróz na plecach — nie z zimna, lecz na myśl, że mogłaby zjechać z głowy razem z maską tlenową. Ze spadochronem opada się z szybkością 4—5 m/sek, a do granicy tlenowej było 4 tys. m! Ale na szczęście mocny gumowy pasek maski przyciskał ją silnie do głowy wraz z pilotką.

Marysi nie było widać, znikła gdzieś w nocy i mgle. Po przesuwaniu się w dole reflektorów z lotniska orientował się, w jakim kierunku go znosi. Znał ten teren na pamięć.

Na wys. 4 tys. m aparat tlenowy automatycznie się wyłączył. Tracz zsunął maskę na szyję i wreszcie mógł się rozejrzeć. Wiatr wzmógł się w dole, światła na lotnisku zaczęły się teraz bardzo szybko przesuwać. Spadochron cały czas się obracał. Na 2 tys. m zobaczył, że z ziemi szukają ich reflektorami, jednak w złym kierunku.

„OPERACJA" UDAŁA SIĘ

Wysokość wynosiła już zaledwie 1000 m. Trzeba było zacząć myśleć o lądowaniu, zmusić się do manewrowania linami — byłoby głupio wyskoczyć szczęśliwie z 8 tys. m, a potem np. wylądować na dachu chałupy i zabić się, spadając z niego na ziemię. Zaczął więc wpatrywać się w ziemię, na której można już było rozróżnić kontury jakiegoś lasu. Dalej była chyba wioska, zarysy pól, chat. Poszczekiwały psy. Bał się szczególnie tego lasu — będą go w nim szukać do rana. Ale przeleciał nad nim szczęśliwie, zobaczył pola, znów zabudowania i wielką ciemną plamę — pewnie zaorane pole.

Zebrał siły, by chwycić za taśmy. Ziemia była tuż, tuż, zaczęła szybko uciekać do przodu. Wylądował jak najbardziej prawidłowo, wywracając się w przód. Leżał chwilę, odpoczywając, po czym pierwszą rzeczą było sięgnięcie po nóż, w celu odcięcia od boku barografu, by przekonać się, czy pracuje. W przeciwnym wypadku cały wysiłek, trud, całe zdenerwowanie poszłoby na marne. Przy świetle księżyca zobaczył przez szybkę zygzakowatą linię — wszystko było w porządku.

Około północy, gdy Tracz wystrzelał już wszystkie swoje rakiety, warkot samochodu oznajmił mu przybycie kolegów, którzy zdołali jakoś odnaleźć go w ciemności. Powrót na lotnisko był radosny. Nowy rekord świata w skoku nocnym z natychmiastowym otwarciem spadochronu — 8.160 m został ustanowiony. Maria Wojtkowska ustanowiła też rekord kobiecy. Wielka nocna „operacja" przyniosła pełne powodzenie.

Magdalena Liszewska

Siedem gwiazd na telefonicznych drutach

MILIONY ludzi na wszystkich kontynentach uprawiają sport dla siebie, dla rozrywki, dla odpoczynku. Tysiące uprawiają sport z potrzeby walki, jako hobby, dla sławy, dla przyjemności podróżowania, dla pieniędzy. Spośród nich wyłania się co roku kilkuset mistrzów takiej wielkości, że blaskiem swej sławy przyciągają uwagę całego świata, a swymi wspaniałymi osiągnięciami piszą historię światowego sportu, pozostawiając na jej kartach swe nazwiska po wsze czasy.

Do kilku spośród nich dotarliśmy, chcąc przybliżyć ich polskim Czytelnikom w ostatnim dniu roku, który znaczył ich sukcesy. Tak, jak na choince wisza się srebrne gwiazdki, bo tych prawdziwych, jaśniejących wysoko w górze nie można ściągnąć na ziemię, tak i my chcieliśmy Wam pokazać z bliska kilka gwiazd sportu światowego.

Do siedmiu europejskich gwiazd pierwszej wielkości zaprowadziły nas druty telefoniczne. Pilotowani przez miłe, uczynne, inteligentne i z wdziękiem pracujące „panienki z międzymiastowej", dotarliśmy do mistrza olimpijskiego i świata, Austriaka Toni Sailera, mistrza i rekordzisty świata — Francuza Rogera Riviere'a, mistrza świata — Niemca Gustawa Adolfa Schura, mistrza Europy — Rosjanina Igora Ter Owanesjana, mistrza Europy — Niemca Manfreda Germara, mistrzyni Europy — Angielki Judy Grinham i trzykrotnego mistrza olimpijskiego, dziś boksera zawodowego — Węgra Laszlo Pappa. Przeczytajcie co nam powiedzieli.

Roger Riviere

myśli o Vuelta i Tour de France.

ROGER RIVIERE — to jedna z najskromniejszych „gwiazd" na sportowym firmamencie. W swym rodzinnym mieście St. Etienne, gdzie mieszka z rodziną, nie ma nawet telefonu, trzeba było zmobilizować do pomocy naszego francuskiego korespondenta, niezawodnego red. Raymonda Meyera, żeby nam „doprowadził" do telefonu Riviere'a, jak tylko przyjedzie do Paryża, gdzie ma często różne sprawy do załatwienia. I wreszcie dostaliśmy go, niemal wprost z lotniska, po przyjeździe z Włoch, gdzie usiłowano go skaptować do udziału w Giro d'Italia.

— Jak Pan się czuje po swoim fatalnym upadku, o którym pisał nam obszernie z Paryża red. Meyer? Czy wznowił Pan już treningi, czy myśli Pan jeszcze o nowym rekordzie w jeździe godzinnej na torze?

— Czuję się już niemal zupełnie dobrze, lekarze w rekordowym czasie postawili mnie na nogi, a raczej posadzili na siodełku. Robię już dłuższe spacery po szosie, ćwiczę wytrzymałość, ale jeszcze nie próbuję szybkości. O torze na razie w ogóle nie myślę. Rok 1959 będzie dla mnie wielką próbą szosową w mej karierze kolarskiej. Wracam właśnie od Włochów, którzy za wszelką cenę chcieli mnie skłonić do startu w Giro d'Italia. Ba, zaprosili mnie nawet, żeby mnie chyba lepiej usposobić, na odpoczynek do Cortina d'Ampezzo. Ale ja o sobie nie decyduję sam. Muszę się podporządkowywać mojemu szefowi sportowemu z firmy St. Raphael-Geminiani, w której barwach jeżdżę. Pan Raymond Louviot, po ostatniej naradzie z kierownictwem, doszedł do wniosku, że większy pożytek przyniesie mój udział w wyścigu Vuelta (dokoła Hiszpanii). Brać udział także w Giro, które się odbędzie po Vuelcie, to byłoby ponad moje siły w tym roku. Nie mogę też zapominać, że czeka mnie Tour de France.

— Czy przyjaźni się pan z kolarzami polskiego pochodzenia?

— O, tak. Moje rodzinne miasto St. Etienne to wielki ośrodek górniczy, a we Francji nie ma górnictwa bez Polaków. Znam dobrze Walkowiaka, przyjaźnię się z Graczykiem, który świetnie się zapowiada. Nie jest to moje tylko zdanie. Rokuję mu dużą przyszłość, większą od Walkowiaka, który zrobił taką niespodziankę na Tour de France przed 2 laty. Jestem pewien, że o Graczyku jeszcze nie raz usłyszycie.

— Co pan woli tor, czy szosę?

— Myślę, że każdy kolarz woli szosę, jeśli mowa o uprawianiu sportu kolarskiego. Ale tor, wymagający szalonego wysiłku mięśniowego i koncentracji, jest jak przedmiot obowiązkowy w szkole. Bez toru nie ma dobrego, wszechstronnego kolarza.

— Więc życzymy panu powodzenia w nadchodzącym sezonie. Szkoda, że nie możemy pana zobaczyć w Polsce.

— Ja też żałuję. Wiele słyszałem od red. Meyera o Wyścigu Pokoju i jego atmosferze. Szkoda, że to nie jest wyścig dla zawodowców. I ja życzę wiele pomyślności kolarzom polskim, zwłaszcza tym, których zobaczę prawdopodobnie na mistrzostwach świata w Holandii.

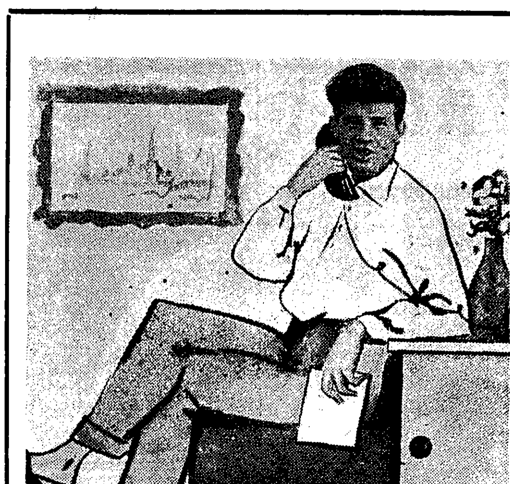

Igor Ter-Owanesjan

chciałby zatańczyć na balu „PS".

JUŻ drugi raz w ciągu kilku tygodni zadzwoniła Warszawa do mieszkania profesora Arama Ter-Owanesjana na ul. Demokratycznej nr 13 we Lwowie. Pierwszy raz odszukało tam mistrza Europy w skoku w dal Igora Ter-Owanesjana Polskie Radio, a teraz Przegląd Sportowy. Igor wrócił właśnie z egzaminu z uczelni i wybierał się na trening do maneżu, kiedy go zawołano do telefonu.

— Czy egzamin dobrze przeszedł? — pytamy sympatycznego chłopca, który podczas swego pobytu na Memoriale Kusocińskiego pozyskał serca warszawiaków.

— Hm, tak sobie. Wiem, że jestem niepoprawnym leniem, aż mi wstyd, ale tyle w tym roku opuściłem zajęć, że musiałbym się zdobyć na olbrzymi wysiłek, żeby zdać tak, jak się tego po mnie wszyscy spodziewają. Bardzo się cieszę z tego telefonu. Aż mi się wierzyć nie chce, że Waszym Czytelnikom może na mnie zależeć. Jak Pani myśli, co może ich interesować?

— Jak Pan spędza teraz czas? Jakie Pan ma plany świąteczne? Kiedy Pana znowu zobaczymy w Warszawie?

— Trenuję dużo na powietrzu. Kilka razy w tygodniu jadę za miasto w kierunku Tarnopola. To przepiękne okolice i stanowią wymarzony teren dla crossów. Biegam więc z kolegami aż się porządnie zmęczę, potem wracamy na piechotę przez pola i las do miasta. Apetyt mam po takim biegu zabójczy. Poza tym trenuję na lwowskim maneżu podnoszenie ciężarów, nie za wiele, ale tak, by nabrać więcej siły. No i gimnastykuję się. Na uczelni gram często w koszykówkę. Bardzo lubię kopać piłkę, ale po warszawskiej kontuzji muszę bardzo uważać, a że lubię sobie pograć na całego, więc kiedy przechodzę koło boiska, staram się nie patrzeć w tamtą stronę. Oprócz tego oczywiście uczę się. Ostatnie egzaminy przedświąteczne mam już za sobą i gdyby nie to, że pogoda we Lwowie jest zupełnie wiosenna, słońce, sucho, oziminy się nawet zazieleniły, to pojechałbym chętnie na narty.

— A co Pan robi w Sylwestra?

— Idę na doroczny bal w naszym Instytucie W. F. W auli stoi już olbrzymia choinka, koleżanki szykują balowe suknie, a i ja muszę przejrzeć moją wieczorową garderobę.

— To może by Pan i na nasz bal zawitał?

— A kiedy będzie?

— 10 stycznia.

— A będą tam moi przyjaciele ze stadionu 10-lecia? Grabowski, Kropidłowski i inni?

— Z pewnością i nawet z żonami.

— Oj, chętnie bym potańczył. Jeszcze dziś wspominam świetne partnerki od rock'n rolla na memoriałowym bankiecie. Proszę nie zapomnieć o przekazaniu mych życzeń noworocznych.

— Komu?

— Wszystkim warszawiankom, i wszystkim lekkoatletom, a specjalnie Grabowskiemu. I mojej najsympatyczniejszej partnerce w tańcu — nie znam jej imienia, ale była tam taka jedna, której to dotyczy. Do zobaczenia w Warszawie!

Laszlo Papp

jest szczęśliwy.

NASZ paryski korespondent red. Raymond Meyer woła z przejęciem do telefonu: — **Właśnie wchodzą. Laszlo Papp i jego trener Cziga Adler. Zaraz będzie Pani mogła z nim mówić, a zdjęcie dla L'Equipe zrobimy po telefonie, albo może jeszcze lepiej — podczas rozmowy z Warszawą. Ale... chwileczkę, bo, jak mi tu właśnie w tej chwili klaruje nasz fotograf, z pochodzenia również Węgier, Papp nie zna francuskiego i tylko bardzo słabo niemiecki, więc w waszej rozmowie będzie pośredniczył Adler. Daję go do telefonu.**

Prosimy wobec tego p. Adlera, żeby Papp powiedział nam parę słów o sobie oraz składamy mu gratulacje z powodu odniesionego właśnie zwycięstwa nad bądź co bądź niezłym zawodowym pięściarzem wagi średniej — Anewy. Słyszymy wyraźnie głos Pappa, przebija w nim zadowolenie i humor, rozróżniamy słowo „szansa" i nazwisko Drille, a potem Sauveur. Cziga Adler tłumaczy:

— Laszlo mówi, że jest szczęśliwy, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. W Paryżu boksuje dopiero drugi raz w życiu, ale ten pierwszy raz nie wart nawet wspomnienia, to był jakiś całkiem nieważny towarzyski mecz amatorski. I dopiero w poniedziałek, 15 grudnia w przepełnionej sali Pałacu Sportowego zrozumiał, że i zawodowy boks ma wiele uroku.

— Wiedziałem, że te tłumy — tłumaczy słowa Pappa Adler — **przyszły nie dla mnie, lecz dla Scholza, ale kiedy stanąłem w ringu, zapomniałem o tym natychmiast. Chciałem wykorzystać nadarzającą się szansę, za wszelką cenę wygrać, popisać się, zdobyć u tej publiczności markę za ładną i skuteczną walkę. Udało się. Teraz może zakontraktuje mnie Benaim na mecz z Drille albo Sauveur — z Chiocca, a potem kto wie, może nawet z samym Humezem będę mógł walczyć?**

— Proszę go się spytać, jak się czuje i co planuje — prosimy p. Adlera.

— Mam wspaniałe samopoczucie. Prawie jakbym wywalczył jeszcze jeden medal olimpijski — skończyłem moją pierwszą zakontraktowaną 10-rundową walkę w 3 rundzie, a więc jak amator. Pojutrze jadę do Wiednia, gdzie mam mówić z moim managerem Pachmannem w sprawie dalszych meczów. Potem do Budapesztu, do żony i syna, z którymi spędzę święta. Wiozę im mnóstwo pięknych paryskich upominków. Udało mi się kupić żonie nie tylko niebieski kapelusz, o który prosiła, ale i perfumy. Firma Lanvin dała mi specjalny rabat. Jako zawodowiec mogę się tym pochwalić. Wielki, pięknie rżnięty w krysztale flakon z perfumami „Scandal" dosłownie za bezcen.

— Proszę pozdrowić Pappa od „Przeglądu Sportowego" i jego Czytelników. Laszlo zna dobrze naszą gazetę.

Cziga Adler spełnia swoją misję tłumacza i po chwili przekazuje nam słowa Pappa.

— Cieszę się, że się mną jeszcze w Polsce interesują. A czy mnie tam u Was nie potępiają, że przeszedłem na zawodostwo? A co sądzi o tym Zbyszek Pietrzykowski, mój pogromca? Chętnie bym go dzisiaj uściskał. Może uda mi się go gdzieś w świecie spotkać, może będziemy kiedyś boksowali w tym samym okresie i w tym samym kraju, to musimy się koniecznie zobaczyć.

Trzeba kończyć rozmowę, więc proszę Pappa do aparatu, mówię mu grzecznie: Köszönem szépen (co oznacza: dziękuję bardzo), on mi coś tam po węgiersku bardzo serdecznie odpowiada, z czego oczywiście nic nie rozumiem i — noworoczna rozmowa „PS" z neo-zawodowcem Pappem skończona.

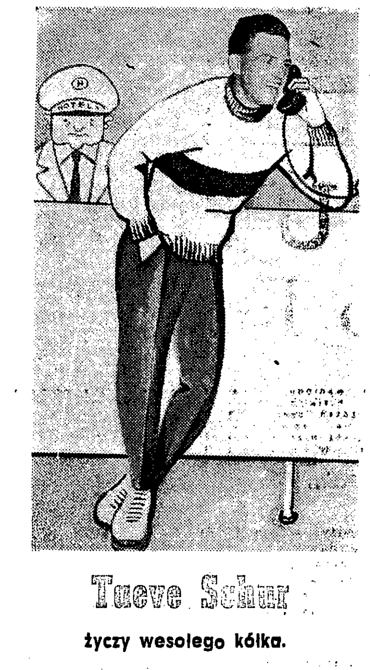

Taeve Schur

życzy wesołego kółka.

OBIADOWA pora. W Grand Hotelu w Tatrzańskiej Łomnicy gwarno jak w ulu. Do trzech młodych ludzi w granatowych sportowych dresach, którzy przed chwilą weszli do hallu, podchodzi portier i mówi: — **Właśnie dzwoni Warszawa do sodrouha (towarzysza) Schura.**

Szkoda, że jeszcze nie wynaleziono telewizji przy telefonie, bo wówczas moglibyśmy opisać wam tę scenę, patrząc jednocześnie na ekran. Tymczasem telewizję zastąpił nam sam „Taeve" Schur, mistrz amatorski świata w kolarstwie szosowym, relacjonując okoliczności, w jakich go zastał nasz telefon. A oto co nam jeszcze powiedział:

— Nigdy nie przypuszczałbym, że mnie tu ktoś z prasy odnajdzie, przecież tak się zakonspirowaliśmy, Manfred Preussger, Helmut Stolper, którzy tu stoją i ja, że nawet nasze rodziny nie wiedzą gdzie jesteśmy. Ale nie mam o to wcale pretensji, jest mi bardzo miło, bo to taka niespodzianka. Jaką wy tam macie w Warszawie pogodę? Bo tu śnieg leży tylko wysoko w górach, a dla takich ceprów kolarskich jak ja, jest go na dole w Tatrzańskiej Łomnicy za mało. Nie jeździmy wobec tego na nartach, a tylko chodzimy na piękne dalekie spacery. Roweru nie zabrałem, chcę odpocząć fizycznie i psychicznie.

Zacznę trenować chyba dopiero po Nowym Roku. Jest mi tutaj bardzo dobrze. Tutejsi goście i kuracjusze, to naród raczej niesportowy, więc mamy względny spokój i pędzimy żywot „cywilów doskonałych".

— Czy długo jeszcze pan tam zostaje?

— Święta Bożego Narodzenia spędzę na wsi w domu u rodziców, a Nowy Rok jak zwykle w Oberhofie. Wie pani, zabawa, wino, tańce do rana. Jest to chyba jeden dzień w roku, kiedy daję sam sobie urlop od sportu i ascetycznego trybu życia.

— Proszę się nie gniewać, że przerywam panu urlopową „akolarską" atmosferę, ale nasi czytelnicy z pewnością chcieliby się dowiedzieć, czy zobaczą pana w nadchodzącym roku w Warszawie?

— Oczywiście. Na finiszu Wyścigu Pokoju. Świadomość, że zakończenie Wyścigu odbędzie się na tle pięknej dekoracji Stadionu Dziesięciolecia, „doda mi skrzydeł".

— Czy mam przez to rozumieć, że obiecuje pan wygrać etap do Warszawy?

— Obiecać, niestety, nie mogę. Taki jest już ten nasz kolarski sport, ale chciałbym widzieć takiego, który by na to nie miał chrapki.

A co tam słychać u Fornalczyka? To bardzo utalentowany i miły chłopiec. Proszę go pozdrowić i powiedzieć, że jeden z weteranów Wyścigu Pokoju (mam chyba prawo tak się nazwać?) życzy mu wielu sukcesów w nadchodzącym roku. Poza Fornalczykiem przesyłam pozdrowienia dla Staszka Królaka i całej kadry, jak również dla polskich kibiców. Manfred Preussger i Helmut Stolper proszą, żeby od nich również przekazać życzenia świąteczne dla lekkoatletów i kolarzy. Mam nadzieję, że będę mógł powitać Przegląd Sportowy w Berlinie, skąd wystartujemy pierwszy raz w historii Wyścigu.

— O, na pewno. Bez nas się tam nie obejdzie!

— A więc — im schoenen Monat Mai?!

— Tak jest i niech pana do tego czasu nie opuści dobry humor!

— Postaram się.

Manfred Germar

kłania się swej sprinterskiej rodzince.

TELEFON z Warszawy musiał wzbudzić nie lada sensację w mieszkaniu rodziców Germara w Kolonii, skoro proszono by zatelefonować nieco później, to postarają się przez ten czas odnaleźć syna gdzieś w mieście. Kiedy dzwoniliśmy po raz drugi, przełączono nas od razu do mieszkania przyjaciół, u których Manfred był na proszonej kolacji. Przeprosiliśmy go pięknie za ten telefoniczny najazd i po złożeniu życzeń świątecznych zapytaliśmy o samopoczucie, zdrowie, nastrój, zamiary...

— Czuję się znakomicie. Przybyło mi 2 i pół kg i obawiam się, że będę musiał przerobić na Sylwestra swoje wieczorowe ubranie. Ale, że krawcy to naród zajęty, a nowego ubrania sobie sprawiać nie warto, bo przecież jak zacznę trenować, to znowu schudnę, więc chyba nie pójdę na żaden bal, lecz pojadę w góry. Tam można świetnie się bawić w stroju narciarskim.

— A kiedy Pan zamierza schudnąć, czyli rozpocząć trening?

— Nie prędko. Mam zamiar pauzować całą zimę. Muszę przysiąść fałdów, by skończyć wreszcie na przyszły rok studia, potem będę za stary. Nie wezmę więc prawdopodobnie udziału w żadnych zimowych imprezach. Ale gdyby ktoś przyjechał z polskich przyjaciół sprinterów, to pojadę do każdego miasta NRF, by się z nim przywitać. Nie tylko zresztą sprinterów, bo poza Edwardem Schmidtem i Foikiem przyjaźnię się także z Lewandowskim i Józefem Schmidtem — to przemiły chłop. Proszę ich wszystkich serdecznie pozdrowić i życzyć im miłych świąt. Ale proszę pamiętać także o przekazaniu moich życzeń pani Barbarze Janiszewskiej. Ona przecież też należy do mojej polskiej rodzinki sprinterskiej.

To już wszystko? To wracam do stołu. Wspaniały zapach pieczeni czuję aż tu przy telefonie. Do widzenia w 1959 roku! Jestem bardzo dumny z tego warszawskiego telefonu. Nigdy nie przypuszczałem, że znaczę dla waszych Czytelników coś więcej, niż każdy inny biegacz zagraniczny. Doprawdy bardzo dziękuję za życzenia i pamięć.

Toni Sailer

myśli o przyjeździe do Warszawy.

TONI SAILER, mistrz olimpijski i świata, najgłośniejszy chyba sportowiec ostatnich 3 lat — jest nieuchwytny. Szukamy go w Austrii — jest w Belgii, łączymy się z Belgią — właśnie wyjechał do Bawarii, w Monachium go nie można złapać, bo kręci film gdzieś za miastem. I wreszcie (jak to dobrze, że są Święta, które spędza się tradycyjnie w domu!) panienka z międzymiastowej, która w pełnym poczuciu swego obowiązku, zadała sobie niemało trudu, zakomunikowała z triumfem: **Toni Sailer przy telefonie** — i dodała zaraz: — **Ale bardzo źle słychać.**

Było jednak słychać dość dobrze, by rozpoznać i zrozumieć miły uchu i sercu (przeżywało się kiedyś parę lat w Wiedniu) dialekt rodowitego Austriaka. Po koniecznym „kurtuazyjnym" wyjaśnieniu, co, kto i dlaczego, słyszę w odpowiedzi wesoły śmiech Sailera.

— Nie, coś takiego, Warszawa dzwoni? Dobrze, że to nie jest zamówienie na pokój w moim pensjonaciku, bo mimo, iż jeszcze nie jest gotowy — wszystko już zajęte na cały sezon. Wróciłem właśnie dzisiaj z Monachium, gdzie ustaliłem plan kręcenia nowego filmu, do którego plenery będą robione w Kitzbuehel. Strasznie zwariowana była ta dzisiejsza, ostatnia niedziela przed świętami. U nas nazywa się „złota" niedziela. Przyjechałem rano, musiałem zajrzeć na budowę, potem do mego sklepu z pamiątkami, w którym mam mnóstwo ślicznych drobiazgów. Rodzina też chciała mnie mieć trochę dla siebie, więc cały wieczór przegadaliśmy, a teraz na zakończenie dnia — miła niespodzianka — telefon z Polski.

— A czemu pan naszego kraju nie odwiedził dotychczas w swych licznych podróżach?

— Sam nie wiem, ale chyba nigdy nikt mnie nie zapraszał. Teraz byłaby doskonała okazja, bo w europejskich stolicach odbywają się prapremiery mego filmu pt. „Czarna błyskawica" i wielkie kina, które wyświetlają film, zapraszają mnie na premierę. Myślę, że jeśli w Warszawie będzie szedł ten film, a wasza redakcja np., lub Klub Dziennikarzy Sportowych napisze do Bavaria-Film, żeby mnie przysłali na premierę, to chętnie przyjadę.

— A co pan robi w tym filmie? Jeździ pan zdaje się także na nartach?

— Mnóstwo rzeczy tam robię i wszystko na nartach: jadąc — gram na harmonijce, jadąc — śpiewam, jadąc — kocham się i to nawet w dwóch dziewczętach jednocześnie — jednej blondynce i jednej brunetce...

— A czy nie skorzystałby pan z innej okazji, mianowicie z Memoriału Czecha i Marusarzówny, żeby zawitać do Zakopanego, o którym pan z pewnością słyszał?

— To nie wykluczone. Najwygodniej byłoby oczywiście połączyć Zakopane i premierę w Warszawie. Naturalnie, że słyszałem o Zakopanem. Znam zresztą stamtąd wielu polskich narciarzy. Przy okazji proszę życzyć im wiele szczęścia i... dobrego śniegu, na którego brak stale narzekali w ub. roku.

— Czy mam kogoś z nich pozdrowić imiennie?

— Pozdrawiam wszystkich, całą kadrę — es sind famose Kerle (to są wspaniali chłopcy). Mam nadzieję, że ich zobaczę w Austrii w tym roku, bo teraz zostanę przez dłuższy czas w Kitzbuehel. W domu jest jednak najlepiej. Rodzice się cieszą, a mój młodszy brat, Rudi, który coraz lepiej jeździ — wprost szaleje z radości.

— A śnieg jest?

— O, tak zwłaszcza w wyższych partiach. Od jutra zaczynam „kręcić" — to taka uciecha. W ostatnich dniach było trochę halniaka, ale śniegu jest jeszcze dość. Amatorów nart prosimy do Kitzbuehel! — żegna się z nami czarujący Toni.

Judy Grinham

zwierza się: — Rozstrzyga się moja przyszłość.

SPORTSMENKĘ W. Brytanii nr 1 — milutką mistrzynię Europy w pływaniu — Judith Grinham osiągamy dzięki uprzejmości naszego przyjaciela, dr Willy Meisla.

Judy jest bardzo zajęta: okres przedświąteczny, zakupy, kartki z życzeniami, nowa sukienka na karnawał 1959 roku...

— Proszę nam powiedzieć jak zakończyła się ostatecznie sprawa pani kariery filmowej? Tyle się w Polsce o tym pisze i mówi, ba, trafiła pani nawet na okładkę sportowego tygodnika ilustrowanego.

— Oh, bardzo mnie to cieszy, że trafiłam także do Polski, ale ciekawa jestem co to za fotografia. Czy w basenie?

— Nie, to scena z pani pierwszego filmu.

— Jakie to dziwne, prawda, że człowiek przez wiele lat marzy o sławie z racji sportu, a potem staje się nagle sławny z zupełnie innego powodu.

— No tak źle nie jest. Koła sportowe, a zwłaszcza pływackie znają panią już od dawna.

— Więc z moją karierą filmową jest tak (w tym miejscu słychać głębokie westchnienie — widocznie nie jest to taka najłatwiejsza sprawa): **mój ewentualny zawód aktorki filmowej wcale jeszcze nie jest zadecydowany i to nie ode mnie zależy, lecz wyłącznie od tego, czy moja pierwsza próba filmowa wypadnie dobrze, a tego przecież nikt z góry nie wie. Zresztą wyolbrzymiono moją rolę „gwiazdy". Film, w którym ani przez chwilę nie jestem w wodzie, nie obraca się wcale dookoła mojej osoby, jak to sobie niektórzy ludzie wyobrażają. Gram w nim małą epizodyczną rolę, właściwie kółko i wcale nie mam pewności, czy uda mi się kiedyś zagrać większą. Towarzystwo filmowe zupełnie się nie interesuje pływaczką Judy Grinham, zwłaszcza, że w filmie nie pływam. Jeszcze gdybym pływała, to może, może byłabym jakąś atrakcją dla angielskiej publiczności, która jest bardzo wybredna i wymagająca, choć ceni sport. Ale znowu, gdybym pływała, przestałabym być amatorem i moje sportowe walory równałyby się zeru.**

— Czemu się pani nie decyduje zerwać z pływaniem i poświęcić się filmowi?

— Trudno to wyjaśnić, ale spróbuję. Sądzę, że w 1959 r. i tak nie będę mogła tyle trenować, co w tym roku. Nawet, jeśli nie pójdę do filmu. Udział w międzynarodowych imprezach wymaga dużo codziennego treningu. Jeśli zacznę pracować w filmie, nie będę miała na to ani czasu, ani siły.

Może wznowię moje codzienne wizyty w pływalni w 1960 r., by przygotować się do Igrzysk Olimpijskich, ale sama w to nie wierzę. Zdobyłam właściwie wszystko w pływaniu, czego można sobie życzyć. A teraz chciałabym znaleźć jakiś zawód, by przestać już być ciężarem dla moich rodziców, którzy niemało ponieśli ofiar, by mnie wykształcić i umożliwić intensywny trening pływacki. Chciałabym żeby mi ten zawód odpowiadał. Film odpowiada mi bardzo, ale nie wiem, czy ja będę odpowiadała filmowi.

— W każdym razie życzymy powodzenia.

— Bardzo, bardzo dziękuję.

W imieniu „PS" z 7 gwiazdami

rozmawiała E. Cunge

POLSKA KREW w galijskich kogutach

Dla „PS" napisał Raymond Meyer

NIEZLICZENI są we Francji sportowcy pochodzenia polskiego! Nie ma chyba ani jednej dyscypliny, w której obeszłoby się bez polskiego nazwiska, względnie bez sportowca polskiego pochodzenia. Wyliczanie wszystkich zajęłoby zbyt wiele miejsca. Sięgniemy wobec tego do najpopularniejszych dyscyplin i do największych nazwisk i przekonamy się, że i tak jest ich bardzo dużo.

W DRUŻYNACH I LIGI

Weźmy dla przykładu sport Nr 1 świata i Francji: piłkę nożną. Wyobrażam sobie, ile listów otrzymam z Polski po wyliczeniu nazwisk dziesiątków piłkarzy — Polaków, grających choć by tylko w naszej pierwszej lidze. Z pewnością niejeden z nich ma jeszcze dzisiaj rodzinę w Polsce.

Na 20 drużyn, grających w pierwszej lidze francuskiej, aż w 17 jedenastkach „rozrabiają" Polacy. Podaję ich nazwiska, nie będąc zresztą pewny, czy to wszystkie. Żywię raczej przekonanie, że w istocie jest ich o wiele więcej, ale trudno jest dociec niekiedy, jak się sprawy mają, jeśli nie zna się każdego z nich osobiście.

HENRYK KOWAL (Kowalkowski) z F. C. Limoges, **WŁADYSŁAW KOWALSKI** z Angers, **HENRYK LEWANDOWICZ** z Lyon, **PIOTR WALENTEK** z Nancy, **ALEKSY ROSZAK** z Nimes, **CZERWONKA** (zwany Simon) z Toulouse, świetny skrzydłowy **JULIAN STOPYRA** z Sochaux, **JAN MARKIEWICZ, EDWARD STAKO** (Stachowicz), **JEAN CLAUDE BIELICKI** — wszyscy z Valenciennes, **MARYAN** (Synakowski) i **TADEUSZ POLAK** z Sedanu, **BRUNO RODZIK** i **ROBERT SIATKA** z Reims, **JAN OLEKSIAK** oraz

Raymond Kopa-Kopaczewski ze swą żoną Christiane.
Fot. Archiwum „PS"

braci **MICHAŁ i RYSZARD TYLIŃSCY** z Saint Etienne, **STEFAN BRZEŹNIAK, LEON OWCZARCZAK, ZBIGNIEW MISIACZEK** oraz **ANTONI GROCHULSKI** (ten ostatni urodzony w Czernicach zachował jeszcze obywatelstwo polskie) — wszyscy ze Strasbourga, **STANISŁAW DĄBEK** i **THEO SKUDŁAPSKI** z Rennes, **LEON GŁOWACKI, MARCEL NOWAK, FRANCISZEK LUDO** (Ludwikowski) z Monaco, **TADEUSZ CISOWSKI** i **KAZIMIERZ KOZA** (Kozakiewicz) z Racingu Paryż, **WILHELM BIEGAŃSKI, BOGUSŁAW KONIESKA, BERNARD STACHOWIAK, KAZIMIERZ NOWATORSKI, STEFAN WALCZAK** — wszyscy z Lille, wreszcie reprezentacyjny skrzydłowy **MARIAN WIŚNIEWSKI, ARNOLD SOWIŃSKI, STEFAN ZIEMCZAK, MAURYCY RASPOTNIK, BERNARD PLACZEK** z Racingu Lens, **LEON GÓRZEWSKI** z Metzu.

Uff, prawie cała kartka nazwisk, a przecież są to — powtarzam wyłącznie zawodowcy z klubów pierwszoligowych. Jest ich co najmniej drugie tyle w II lidze i znacznie więcej w licznych drużynach okręgowych lub amatorskich. Jak więc widzicie, udział Polaków we francuskiej piłce nie jest mały i tego faktu nie da się pominąć milczeniem. Pozwala to raczej przypuszczać, że klimat „słodkiej" Francji odpowiada poczciwym, szorstkim sercom polskich robotników, z których się ci wszyscy piłkarze rekrutują.

3 GWIAZDY POLSKO-FRANCUSKIE

Jak widzieliśmy, na ilość było tego sporo. A na jakość? Pozostawiając na razie na uboczu sylwetkę utalentowanego napastnika Valenciennes Edwarda Stako, który potrzebuje jeszcze rutyny i zaharowania w twardych walkach zawodowców, trzech piłkarzy polskiego pochodzenia wybija się na pierwszy plan:

Jeden z największych piłkarzy świata RAYMOND KOPA, który bardziej, niż kiedykolwiek, błyszczy obecnie na firmamencie... Realu Madryt.

Doskonały prawoskrzydłowy Lens i reprezentacji Francji MARIAN WIŚNIEWSKI.

Pechowy środkowy napastnik Racingu, TADEUSZ CISOWSKI, jeszcze ciągle, mimo wszystkie swe niepowodzenia, wespół z Fontainem najlepszy strzelec mistrzostw ligowych bieżącego sezonu.

Jeśli chodzi o innych piłkarzy, którzy również doznają lub doznawali triumfów, trzeba wymienić ostarego" Leona Głowackiego (31 lat i 11 razy w reprezentacji).

Głowacki był kiedyś doskonale zgranym partnerem z Kopą w drużynie Reims. Ostatnio nadwerężył swe siły pod słońcem Riviery w Monaco, ponadto kontuzjowany w kostkę jest od pewnego czasu niedysponowany i nie będzie mógł jeszcze przez kilka najbliższych tygodni występować.

Wilhelm Biegański, trzykrotny reprezentant Francji, liczący dopiero 26 lat, przegapił zdaje się z kretesem szansę stania się wielką gwiazdą w naszym piłkarstwie.

Theo (Skudłapski) jest jeszcze młodszy od Biegańskiego. Ma on dopiero 23 lata, ale jego postępy są pod względem technicznym dość ograniczone; **ma tylko wyjątkowo silny strzał z lewej nogi.**

Stanisław Dąbek (27 lat) wystawiony do reprezentacji na mecz z Grecją, zawiódł wskutek swej delikatności w Atenach i chyba nie prędko zobaczymy go znowu w drużynie z galijskim kogutem.

I wreszcie do ostatniego z tej serii atletycznie zbudowanego Rysia Tylińskiego (21 lat) przyszłość uśmiecha się bardziej różowo, aniżeli do jego brata Michała (24 lata). Jego młody wiek pozwala żywić wiele nadziei.

KOPA MUSI SIĘ ZDECYDOWAĆ

Powróćmy jednak do naszych trzech gwiazd (naszych, znaczy w tym wyjątkowym wypadku naszych wspólnych, polsko-francuskich).

Kopa przyjechał przed kilku dniami do Angers, rodzinnego miasta swej żony Christiane na święta i wypoczynek.

Raymond jest w przededniu powzięcia ważnej decyzji. W roku 1960 wygasa mianowicie kontrakt, wiążący go już 4 rok z Realem Madryt. Wielki klub hiszpański wywiera już teraz presję na Kopaczewskiego, by przedłużył umowę jeszcze na 2—3 lata. Po tym okresie izn. mniej więcej w 1963 r. Kopa będzie miał 32 lata i jego kariera we Francji będzie właściwie prawie skończona.

Marian Wiśniewski w akcji.
Fot. Archiwum „PS"

Mimo olbrzymich korzyści materialnych, jakie mu daje pobyt w Realu, Raymond jeszcze się nie zdecydował. Kopa jest bardzo przywiązany do Francji i bardzo za nią tęskni. W Hiszpanii brak mu też przyjemnej francuskiej publiczności. **Serce Kopy jest we Francji i nie pozwala na razie wziąć góry hiszpańskim pesetom. Więc Raymond waha się i waha bez końca...**

I oto ten piłkarz, o którym Puskas powiedział kiedyś, że jest godny, by grać w wielkiej ekipie Węgier, musi w ciągu najbliższego półrocza podjąć ostateczną decyzję w sprawie swej zawodowej przyszłości.

NIESPOŻYTA ENERGIA TADEUSZA CISO

Tadeusz Cisowski dopiero co wstał z łóżka, w którym leżał unieruchomiony po drugiej już poważnej operacji łokcia. Chirurg udzielił mu dwumiesięcznego zwolnienia, ale Ciso liczy, że będzie mógł powrócić do gry już w pierwszych dniach stycznia. A na razie zastępuje go inny napastnik, również pochodzenia polskiego — Kazimierz Koza — kupiony specjalnie w tym celu od Red Staru przez Racing.

Dzielny, miły Tadeusz! Mój przyjaciel Roger Frankeur poświęcił mu w L'Equipe całą stronę reportażu, którego tytuł jest świetnym schematem kariery Cisowskiego: **„3 razy w reprezentacji, 7 razy operowany, 36 razy kontuzjowany".**

Dodajmy do tego zwięzłego, ale treściwego tytułu wiek: 32 lata, niezwykłą uprzejmość i wspaniałą karierę piłkarską mimo łącznie 2 lat spędzonych w łóżku i 4 lat bezczynności na skutek rozmaitych wypadków na boisku.

I wreszcie specjalna ciekawostka dla jego rodaków: Ciso jest jednym z nielicznych Polaków z Francji, urodzonych w Polsce: dokładnie w Laskach w dniu 16 lutego 1927 roku.

WIELKA KLASA WIŚNIEWSKIEGO

Miejsce „emigranta" Kopy i kontuzjowanego Cisowskiego zajął w reprezentacji Francji Marian Wiśniewski z Lens, który wśród Polaków z pochodzenia, a nawet wśród piłkarzy francuskich w ogóle, okazał się gwiazdą pierwszej jakości.

1,75 wzrostu, 74 kg wagi, 17 razy w reprezentacji, 22-letni prawoskrzydłowy Wiśniewski dochodzi ostatnio do pełni swej formy. Odbywa obecnie służbę wojskową. Syn górnika z Lens został zawodowym piłkarzem, mając 16 lat. Od tego czasu jest stale w reprezentacji swego klubu, grając na ulubionej pozycji — prawym skrzydle. **Jego szybkość, doskonała technika operowania piłką oraz zdolność wykorzystywania nawet najmniej pomyślnych sytuacji, robi z niego jednego z najskuteczniejszych skrzydłowych Europy.**

Z początku zarzucano mu pewną nonszalancję, którą przypisać należy jego wrodzonej fantazji i szybkiemu procesowi rozwoju. W Szwecji, gdzie grał we wszystkich meczach naszej drużyny, był tuż za Kopą, Fontainem i Piantonim najlepszym zawodnikiem drugiego ataku mistrzostw (pierwsza była oczywiście linia ataku Brazylii). I co ciekawsze, jego zasługą było zdobywanie przez drużynę trójkolorowych bramek tzw. psychologicznych, przynoszących radykalny zwrot w przebiegu ważnych spotkań i zapewniających Francji zwycięstwa.

W bieżącym sezonie Marian jest najlepszym strzelcem Lens, zachwyca swą formą i techniką; dla tego chłopca nie istnieje żadna przeszkoda. Rzadko kiedy, a może nawet jeszcze nigdy Francja nie miała tak skutecznego skrzydłowego. Wiśniewski, który za kilka miesięcy zostanie zwolniony z wojska, stoi dopiero u progu swej wielkiej kariery w reprezentacji Francji...

W życiu prywatnym Wiśniewski jest czarujących chłopcem, nie jest wprawdzie taką indywidualnością jak Kopa lub Cisowski, ale jest przecież jeszcze taki młody. Łagodność jego charakteru, uprzejmość i skromność czynią z niego w każdym bądź razie kolegę, którego zalety cenione są przez wszystkich zawodników i publiczność.

GUIGUE gwizdał 6 meczów

Arbitrem sezonu 1958 jest francuski oficer policji Maurice Guigue. Sędziował on 3 mecze finałowej tury mistrzostw świata, w tym również finał Brazylia — Szwecja oraz 3 inne spotkania. Prowadzi on na liście sędziów europejskich z 6 meczami łącznie. Drugi, z 4 meczami, jest znany w Polsce Anglik Clough.

Po 3 spotkania prowadzili w r. 1958: Leafe (Anglia), Dusch (NRF), van Nuffel (Belgia) i Zsolt (Węgry); po 2 — Ellis (Anglia), Garduazabal (Hiszpania), Dienst (Szwajcaria) i Gril (Austria); po 1 meczu 28 arbitrów z 16 krajów. Żadnego meczu międzypaństwowego nie prowadzili sędziowie z Bułgarii, Rumunii, Polski, Grecji, Turcji, Albanii i Luksemburga.

Próba klasyfikacji piłkarzy 1958 r.

SZWECJA, FRANCJA i NRF przodują w Europie

Bardzo słaby sezon Polaków

TRADYCYJNĄ pozycją świątecznego, względnie noworocznego numeru „Przeglądu Sportowego" jest doroczna klasyfikacja piłkarzy. I w tym roku dokonamy próby bilansu minionego sezonu — uprzedzamy jednak entuzjastów brązowej piłki, że tegoroczna ocena drużyn reprezentacyjnych krajów Europy i świata nie może być jednolita. **Naszej klasyfikacji dokonywaliśmy w poprzednich latach na podstawie wyników osiągniętych we wszystkich spotkaniach międzypaństwowych i stosowaliśmy jako kryterium porównania współczynnik możliwości, tzn. stosunek zwycięstw i remisów do ogólnej liczby rozegranych meczów. W tym roku taki sposób klasyfikacji jest niemożliwy, ponieważ finałowe mecze w mistrzostwach świata (a było ich w sumie 35) stanowią całkiem odrębny rozdział minionego sezonu z własną klasyfikacją czołówki światowej.** I jakkolwiek nie wszyscy fachowcy uważają ją za doskonałą, bo dokonaną systemem pucharowym, niemniej nic nie zdoła zmienić faktu, że **w ciągu najbliższych 4 lat Brazylia będzie pierwszym zespołem świata, a Szwecja najlepszym w Europie.**

Odsyłając więc Czytelników do naszego noworocznego dodatku, w którym podane są wszystkie spotkania z finałów mistrzostw świata, **zajmiemy się tu pozostałymi spotkaniami międzypaństwowymi roku 1958.**

Było ich w sumie 98. Rok finałów mistrzostw świata jest zwykle uboższy w mecze międzypaństwowe. Sporo czasu i wysiłków zabierają przygotowania do batalij o tytuł najlepszego w świecie, nie organizuje się też w tym sezonie przeróżnych turniejów w Ameryce Południowej i Środkowej.

Oto wykaz spotkań o charakterze towarzyskim w porządku chronologicznym:

STYCZEŃ (2): Urugwaj — Argentyna 3:0, Irlandia — Włochy 2:1;

LUTY (3): Izrael — Walia 0:2, Walia — Izrael 2:0, Maroko — Syria 3:1;

MARZEC (9): Belgia — NRF 0:2, Saigon — Korea Płdn. 0:1, Francja — Hiszpania 2:2, Argentyna — Wenezuela 6:1, Urugwaj — Peru 4:2, NRF — Hiszpania 2:0, Austria — Włochy 3:2, Luksemburg — Holandia 1:9, Szwajcaria — NRF 1:2;

KWIECIEŃ (12): CSR — NRF 3:2, Urugwaj — Argentyna 1:0, Belgia — Holandia 2:7, Hiszpania — Portugalia 1:0, Paragwaj — Argentyna 1:0, Walia — Irlandia 1:1, Francja — Szwajcaria 0:0, Szkocja — Anglia 0:4, Węgry — Jugosławia 2:0, Holandia — Curacao 8:1, Argentyna — Paragwaj 2:0, Argentyna — Urugwaj 2:0;

MAJ (17): Albania — NRD 1:1, Anglia — Portugalia 2:1, Brazylia — Paragwaj 5:1, Holandia — Turcja 1:2, Szwecja — Szwajcaria 3:2, Brazylia — Paragwaj 0:0, Szkocja — Węgry 1:1, Jugosławia — Anglia 5:0, Polska — Eire 2:2, Austria — Eire 3:1, Brazylia — Bułgaria 4:0, Dania — Curacao 3:2, Brazylia — Bułgaria 3:1, ZSRR — Anglia 1:1, Szwajcaria — Belgia 0:2, Dania — Polska 3:2, Norwegia — Holandia 0:0;

CZERWIEC (5): Polska — Szkocja 1:2, Finlandia — Węgry 1:6, Norwegia — Finlandia 2:0, NRD — Polska 1:1, Dania — Norwegia 1:2;

LIPIEC —

SIERPIEŃ (8): Norwegia — NRD 6:5, Finlandia — Szwecja 1:7, Nowa Zelandia — Australia 2:2, CSR — ZSRR 1:2, Indonezja — Malaje 2:3, Singapur — Wietnam 4:4, Indonezja — Singapur 2:0, Hong Kong — Wietnam 5:3;

WRZESIEŃ (13): Hong Kong — Malaje 0:3, Singapur — Malaje 0:0, Indonezja — Wietnam 4:1, Hong Kong — Singapur 2:0, Wietnam — Malaje 0:2, Indonezja — Hong Kong 1:2, Finlandia — Dania 1:4, Austria — Jugosławia 3:4, Polska — Węgry 1:3, NRD — Rumunia 3:2, CSR — Szwajcaria 2:1, Dania — NRF 1:1, ZSRR — Węgry 3:1;

PAŹDZIERNIK (16): Francja — Grecja 7:1 Belgia — Holandia 2:3, Irlandia — Anglia 3:3, Austria — Francja 1:2, Eire — Polska 2:2, NRD — Bułgaria 1:1 Jugosławia — Węgry 4:4, CSR — Bułgaria 0:1, Walia — Szkocja 0:3, Holandia — Dania 5:1 Hiszpania — Irlandia 6:2, Anglia — ZSRR 5:0, Szwecja — Dania 4:4, Francja — NRF 2:2, Belgia — Turcja 1:1 Rumunia — Węgry 1:2;

LISTOPAD (8): Holandia — Szwajcaria 2:0, Rumunia — Turcja 3:0, NRD — Norwegia 4:1, Szkocja — Irlandia 2:2, Walia — Anglia 2:2, Francja — Włochy 2:2, NRF — Austria 2:2 Węgry — Belgia 3:1;

GRUDZIEŃ (5): Grecja — Francja 1:1 Bułgaria — Turcja 0:0, Włochy — CSR 1:1, Turcja — CSR 1:0 NRF — Bułgaria 3:0.

Mając ten wykaz, można już robić przeróżne zestawienia: ogólne, częściami świata itp. Pozostawiając je Czytelnikom zainteresowanym w statystyce, ograniczymy się tu do tabeli ilustrującej osiągnięcia w sezonie 1958, krajów najbardziej nas interesujących, tj. europejskich. Zestawimy ją według ilości rozegranych spotkań:

	mecze	zwyc.	rem.	przegr.	stos. br.
Węgry	8	5	3	1	22:12
NRF	8	4	3	1	16:9
Francja	7	3	3	0	16:9
Anglia	7	3	3	1	17:12
Holandia	6	5	0	1	27:8
NRD	6	2	3	1	15:12
CSR	6	2	1	3	8:8
Dania	6	2	2	2	14:15
Bułgaria	6	1	3	2	3:11
Polska	6	0	3	3	9:13
Szwajcaria	6	0	1	5	4:11
Norwegia	5	3	1	1	11:10
Walia	5	3	2	1	7:6
Szkocja	5	2	2	1	8:8
Turcja	5	2	2	1	4:5
Austria	5	2	1	2	12:11
Belgia	5	2	1	2	6:16
Hiszpania	4	2	1	1	9:6
Jugosławia	4	2	1	1	13:9
ZSRR	4	2	1	1	6:8
Włochy	4	0	2	2	6:8
Irlandia	4	0	3	1	8:12
Finlandia	4	0	0	4	3:19
Szwecja	3	2	1	0	14:7
Rumunia	3	1	0	2	6:5
Eire	3	0	2	1	5:7
Grecja	2	0	0	2	2:8
Portugalia	2	0	0	2	1:3
Albania	1	0	1	0	1:1
Luksemb.	1	0	0	1	1:9

Listę najlepszych strzelców Europy otwiera pierwszy strzelec mistrzostw świata Just Fontaine, Francja. Zdobył on w r. 1958 ogółem 17 bramek w meczach międzypaństwowych. Za nim idą następujący napastnicy:

11 bramek — Rahn (NRF)
9 bramek — Tichy (Węgry)
8 bramek — Veselinovic (Jugosławia)
6 bramek — Charlton (Anglia)
5 bramek — McParland (Irlandia), Zikan (CSR), Kevan (Anglia), Allchurch (Walia), Seeler (NRF), Hennum (Norwegia) Enocksen (Dania)
4 bramki — Piantoni (Francja), Schäfer (NRF), Krulver (Holandia), Sandor (Węgry), Pedersen (Dania) Schrötter (NRD), McIlroy (Irlandia), Kopa (Francja).
3 bramki — Iljin (ZSRR), Cieślarczyk (NRF), van Wissen (Holandia), Körner (Austria), Tejada (Hiszpania), Suarez (Hiszpania), Haynes (Anglia), Göröcs (Węgry), Peterson (Norwegia), Cieślik (Polska).

Podkreślamy, że **powyższa tabela nie szereguje poszczególnych reprezentacji według ich „wartości"**, lecz tylko według ilości rozegranych spotkań. Jest ona jedynie wyrazem dużej ruchliwości niektórych drużyn na rynku międzynarodowym, a szczególnie kilku finalistów ze Szwecji: NRF, Francji, Węgier, Anglii i CSR. Mimo uciążliwego turnieju finałowego kraje te najczęściej grały spotkania międzypaństwowe i jak przystało na finalistów osiągnęły również dobre wyniki.

EUROPEJSKA CZOŁÓWKA

Aby określić właściwą czołówkę europejską, należy wziąć obok wymienionych wyżej spotkań, także wyniki finałowych meczów. **Musi się w niej znaleźć niewątpliwie wicemistrz świata — SZWECJA, trzecia drużyna mistrzostw — FRANCJA, czwarta — NRF i mimo pewnych niepowodzeń: ANGLIA i ZSRR.** Oto jak wygląda pełny bilans tych krajów, uwzględniający wszystkie mecze sezonu, a więc i z finałów szwedzkich:

	mecze	zw.	rem.	przegr.	st. br.	współcz.	możl.
1. Szwecja	9	6	2	1	26:14	78	proc.
2. Francja	13	6	5	2	39:24	65	proc.
3. NRF	14	6	5	3	28:23	61	proc.
4. ZSRR	9	4	2	3	11:14	56	proc.
5. Anglia	11	3	6	2	21:17	55	proc.

Szwecja zajmuje więc pierwsze miejsce nie tylko z racji swego wicemistrzowskiego tytułu, ale i z tego chociażby faktu, że jest ona w tym sezonie jedynym zespołem niepokonanym przez inną drużynę europejską (tylko przez Brazylię). Francja ma na swym koncie przegraną z Jugosławią 2:3 i (podobnie jak Szwecja) z Brazylią. Trzecią lokatę Niemców uzasadniają porażki ze Szwecją i Francją oraz „dodatkowa" z CSR. Konto piłkarzy ZSRR obciążają przegrane ze Szwecją i Brazylią oraz wysoka porażka 0:5 z Anglią. Niemniej zasłużyli oni na 4 lokatę w Europie przed Anglikami, którzy w jednym z trzech bezpośrednich pojedynków musieli uznać wyższość rywala i którzy z innym przeciwnikiem — Jugosławią przegrali również 0:5.

W pewnym odstępie za tą piątką powinniśmy sklasyfikować 7 dalszych finalistów, a więc **Jugosławię, Irlandię, Walię, CSR, Węgry, Szkocję i Austrię** oraz 2 kraje nie biorące udziału w turnieju szwedzkim, tj. **Hiszpanię i Włochy.**

BUŁGARIA NA CZELE ŚREDNIAKÓW

Na czoło pozostałych 16 krajów europejskich wysunęły się w r. 1958 — **Bułgaria, Norwegia, Holandia, NRD i Turcja.** Wszystkie cztery poniosły w sezonie 1958 r. tylko po jednej porażce z drużynami europejskimi (Bułgaria z NRF 0:3, Norwegia z NRD 1:4, Holandia z Turcją 1:2, NRD z Norwegią 5:3, a Turcja z Rumunią 0:3). Obok nich można jeszcze sklasyfikować **Portugalię**, która przegrała 2 mecze, ale z przeciwnikami wielkiej klasy, a w dodatku na obcym terenie (Hiszpania 0:1 i Anglia 1:2), Danię pokonaną przez Norwegię i Holandię oraz Rumunię z jednym zwycięstwem (nad Turcją) i dwoma przegranymi (Węgry i NRD).

Bardzo słaby sezon miały: POLSKA, Belgia, Szwajcaria, Grecja i Eire. Nie odniosły one ani jednego zwycięstwa. Gorzej od nich wypadły tylko: Albania, która w jedynym meczu, rozegranym na własnym terenie, uzyskała remis 1:1, dalej Luksemburg, pokonany przez Holandię 9:1 oraz Finlandia, która w 4 spotkaniach międzypaństwowych miała wszystkie 1 to wysokie przegrane.

Szczególnie przykre jest stwierdzenie lokaty polskich piłkarzy w europejskiej konkurencji. W minionym sezonie nie udowodnili oni wcale swych aspiracji do średniej klasy drużyn starego kontynentu, do której zaliczani byli ongiś.

Może nadchodzący sezon będzie lepszy i pozwoli im wywalczyć miejsce, bardziej odpowiadające ich możliwościom i gorącym życzeniom milionów kibiców. Tegoroczny „sezon bez zwycięstw" a tylko z 3 remisami niezbyt cennej wartości uczynił z nich drużynę, którą trudno jest znaleźć nawet w drugiej dziesiątce.

NIEPOKONANA BRAZYLIA

A jak jest na innych kontynentach? Na podstawie kilkunastu spotkań, rozegranych w Ameryce Południowej przoduje tam niepokonana w r. 1958 Brazylia. W 4 meczach rozegranych na tamtej półkuli odniosła ona 3 zwycięstwa, a tylko raz zadowoliła się remisem 0:0 (z Paragwajem). Za mistrzem świata umieścić należy **Urugwaj** (3 zwycięstwa i 1 przegrana), **Argentynę** (3 zwycięstwa i 3 przegrane), **Paragwaj, Peru i Wenezuelę.**

Jest to zresztą dość pobieżna klasyfikacja. W roku mistrzostw świata nie rozgrywano w Ameryce żadnych oficjalnych turniejów, ani mistrzostw Płd. Ameryki ani Pucharu Atlantyku.

Poza turniejem o puchar Malajów, nie rozgrywano też żadnych poważniejszych konkurencji również w Azji. W wymienionym turnieju z udziałem 5 zespołów, triumfowali w Kuala Lumpur gospodarze, przed Hong Kongiem oraz Indonezją i Wietnamem.

G. Aleksandrowicz

Konkurs „Ały" dla piłkarzy

Znany piłkarz-karykaturzysta Edward Anaszewski organizuje dla kibiców i... fachowców piłkarskich noworoczny konkurs rysunkowy z nagrodami. Aby trafnie rozwiązać ten konkurs, należy na sąsiednim rysunku:

1. **dorysować bramkę, linie pola bramkowego, karnego i autowe;**
2. **rozdzielić graczom kostiumy (np. jednej z drużyn dać koszulki w pasy) i podzielić ich w ten sposób na 2 drużyny;**
3. **odnaleźć sędziów i dorysować im czarne kostiumy;**
4. **umiejscowić piłkę (wpadła w samo okienko bramki);**
5. **ustawić na rogu (rogach) boiska chorągiewkę (i);**
6. **podać prawidłową decyzję sędziego: gol, karny, spalony, względnie inną.**

Dla zwycięzców konkursu Redakcja przeznacza piłkę z autografami reprezentantów Polski, zaś „Ała" 5 kompletów karykatur zawodników mistrza Polski w roku 1958 — t.KS.

Rozwiązania należy przesyłać do dnia 15 stycznia 1959 r. do redakcji „PS" — Warszawa, ul. Mokotowska 24 z dopiskiem na kopercie „Konkurs Ały".

NASZA NOWOROCZNA ANKIETA

Rewelacja sportowa 1959 roku? Życzenia pod adresem prasy?

ANKIETY noworoczne, to już chyba tradycja w Przeglądzie Sportowym. Nie obeszło się bez ankiety i tym razem. Postawiliśmy kilku znanym i popularnym działaczom różnych dyscyplin sportu dwa tylko pytania. Oto one:

1. Jakich rewelacji spodziewa się pan w swojej dyscyplinie sportu, lub w sporcie w ogóle w 1959 roku w Polsce i w świecie?

2. Pańskie życzenia pod adresem prasy sportowej, konkretnie Przeglądu Sportowego? Odpowiadają:

TADEUSZ PASTURCZAK

— wiceprezes Polskiego Związku Bokserskiego:

1 Światu zostaną ujawnione nazwiska nowych 10 mistrzów Europy. Spodziewam się, że w Lucernie padnie rekord trzykrotnego zdobycia tytułu przez jednego zawodnika, a może sukces ten osiągnie nawet trzech pięściarzy. (Wiceprezes oprócz Pietrzykowskiego miał tu chyba na myśli Jengibariana i Drogosza — przyp. red.).

My prawdopodobnie zdobędziemy tytuł mistrza Europy w kategorii, w której dotychczas nie figurowało nazwisko Polaka. Pod koniec roku będziemy już znali naszych kandydatów na Igrzyska Olimpijskie. Spodziewamy się, że w wadze muszej będzie zupełnie nowe nazwisko.

2 Redaktorom, którzy pracę swoją poświęcili naszej dyscyplinie sportu, życzę mężnego serca bokserskiego w polemikach, bo potrzebujemy jak najwięcej „prawych kontr" dla przeciwników boksu. Redaktorom „PS" życzyłbym, aby nasza dotychczasowa współpraca nie uległa zmianie.

MIECZYSŁAW PALUS

— trener Polskiego Związku Hokeja na lodzie:

1 Myślę, że o tytule najlepszej drużyny świata zadecyduje, podobnie jak w latach ubiegłych, spotkanie Kanada — ZSRR, ale i Czechosłowacy, choćby z uwagi na własny teren, mają szanse zdobycia wicemistrzostwa.

W Polsce bez rewelacji. Przewiduję, że tytuł drużynowego mistrza wywalczy Górnik Katowice, a warszawska Legia utrzyma drugie miejsce.

2 Życzyłbym sobie, by więcej dziennikarzy oglądało mecze hokejowe i zapoznawało się z techniką, taktyką i przepisami gry, oraz pisało dokładniej sprawozdania z oglądanych meczów. Z dużą satysfakcją stwierdzam, że jedną z gazet, podchodzących z sercem do spraw związanych z hokejem, jest właśnie „Przegląd Sportowy".

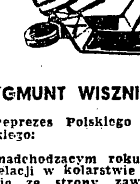

ZYGMUNT WISZNICKI

— wiceprezes Polskiego Związku Kolarskiego:

1 W nadchodzącym roku dużych rewelacji w kolarstwie spodziewam się ze strony zawodników Chin Ludowych. Poza tym, moim zdaniem, na mistrzostwach świata powinien w pierwszej szóstce uplasować się jeden z naszych czołowych szosowców. Jestem pewny, że dotychczasowe rekordy Polski na torze od 1 km do godzinnego wyścigu włącznie, zostaną w nadchodzącym roku pobite i to w czasach niewiele odbiegających od rekordów świata.

2 Kibice i miłośnicy sportu nie mogą oglądać wszystkich imprez, a w szczególności szosowych wyścigów kolarskich. Gdyby sprawozdawcy sportowi mniej rozprawiali na temat organizacji, a więcej pisali w swych artykułach o dokładnym przebiegu toczącej się walki na trasie, dawaliby Czytelnikom więcej emocji i satysfakcji.

Pragnąłbym, aby „Przegląd Sportowy" w sezonie ogórkowym drukował na swych łamach małe powieści sportowe, bądź to z Tour de France, bądź też ciekawe historie z życia znanych zawodników. Życzę sobie także milej współpracy pomiędzy PZKOl. i „PS".

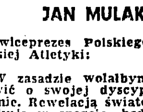

JAN MULAK

— wiceprezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki:

1 W zasadzie wolałbym nie mówić o swojej dyscyplinie, lecz ogólnie. Rewelacją światową, jakiej oczekuję w sporcie, będzie poczynienie przez pływaków australijskich tak ogromnych postępów, że uciekną oni po prostu pozostałym krajom. Poza tym spodziewam się, że wielki krok naprzód zrobią sportowcy Pakistanu.

Jeśli chodzi o sport polski — to jestem przekonany, że tak, jak rewelacją 1958 roku byli nasi kajakarze, w 1959, a najdalej w 1960, zrobią to samo biegacze narciarscy.

2 Moje życzenie pod adresem prasy sportowej, w szczególności „PS"? Aby sprawy, które są skomplikowane i trudne, były naświetlane w sposób obiektywny tak szybko, by można je było jeszcze rozwikłać. Aby prasa udzielała pomocy w rozwiązywaniu problemów, a nie pogłębiała ich i jątrzyła. Przykład — sprawa Kevey'a. Gdyby na początku 1957 roku została ona w prasie tak postawiona, jak pod koniec roku 1958, szermierka nie znalazłaby się dziś w takim impasie.

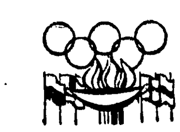

LESZEK RYLSKI

— prezes Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej:

1 Jednym z najciekawszych wydarzeń przyszłego sezonu piłkarskiego będą rozgrywki o Puchar Narodów, w których i Polska bierze udział. Największą rewelacją byłoby oczywiście zwycięstwo naszej drużyny nad Hiszpanią. Nie mogę powiedzieć, żebym oczekiwał tego, jednak piłka jest okrągła i różne rzeczy się zdarzają.

2 Specjalnych życzeń, ani zażaleń pod adresem prasy sportowej nie mam. „PS" jest redagowany bardzo przyjemnie i uwzględnia na ogół wszystkie potrzeby naszego życia sportowego. Mogę więc wam tylko życzyć stałego wzrostu nakładu i... trochę żywszego pod względem graficznym redagowania środkowych stron gazet, które są nieco szare i jednostajne.

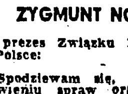

ZYGMUNT NOWAK

— prezes Związku Piłki Ręcznej w Polsce:

1 Spodziewam się, że po załatwieniu spraw organizacyjnych Związek nasz, przez dalszą pracę szkoleniową, podniesie poziom piłki ręcznej i uatrakcyjni rozgrywki, przez co spopularyzuje znacznie naszą dyscyplinę sportu. Nie oczekuję specjalnych rewelacji w piłce ręcznej, a w innych dyscyplinach sportu nie jestem fachowcem i trudno mi autorytatywnie zabierać głos.

2 Życzę Przeglądowi Sportowemu, aby stał się pismem, w którym w równej mierze znajdowałyby miejsce i odbicie wszystkie dyscypliny sportu. Jestem zresztą zdania, że wasza gazeta rozwija się stale i jest już w tej chwili poważnym pismem sportowym na skalę międzynarodową, spełniając dużą rolę w sporcie krajowym.

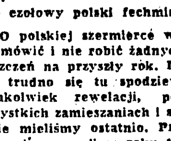

ALEKSANDER WÓJCICKI

— czołowy polski fechmistrz:

1 O polskiej szermierce wolę nie mówić i nie robić żadnych przypuszczeń na przyszły rok. Doprawdy, trudno się tu spodziewać jakichkolwiek rewelacji, po tych wszystkich zamieszaniach i swarach, jakie mieliśmy ostatnio. Przypuszczam, że sensacji w roku 1959 mogą nam dostarczyć znów lekkoatleci.

Natomiast w szermierce światowej oczekuję rewelacji — spodziewam się, że w przyszłych mistrzostwach świata w Budapeszcie szabliści radzieccy sięgną po tytuł mistrzowski.

2 Chciałbym, aby „PS" pisał więcej o warszawskiej szermierce, której zupełnie się nie zauważa. Przykład — o mistrzostwach Katowic w II klasie była w waszej gazecie wzmianka, natomiast mistrzostwa stolicy w klasie I przeminęły bez śladu.

Pragnąłbym także, aby w wypadku jakichkolwiek nieporozumień personalnych w szermierce czy innej dyscyplinie sportu, prasa sportowa naświetlała je obiektywnie, biorąc pod uwagę pretensje obu stron. W okresie początkowym sprawy Kevey'a było całkiem inaczej i nawet w waszej redakcji wyjaśnienia drugiej strony były po prostu... wyrzucane do kosza. Tego rodzaju polityka na pewno nie może pomóc do zlikwidowania konfliktu.

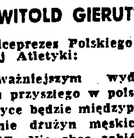

WITOLD GIERUTTO

— wiceprezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki:

1 Najważniejszym wydarzeniem roku przyszłego w polskiej lekkoatletyce będzie międzypaństwowe spotkanie drużyn męskich Polska — ZSRR. Nie chcę robić żadnych przypuszczeń na temat wyniku, jednak niewątpliwie spotkanie to będzie rewelacją nie tylko sezonu, lecz w ogóle w historii polskiej lekkoatletyki.

Światową rewelacją, jakiej spodziewam się w przyszłym sezonie, będzie bieg Elliotta na 5 km w czasie poniżej 13 min. 30 sek.

2 Pod adresem prasy sportowej, szczególnie „PS", mam takie życzenie, aby utrzymany był poziom roku bieżącego. Z tą korektą, że w prognostykach przedmeczowych przydałoby się więcej sceptycyzmu — tzn. mniej optymistycznej oceny szans polskich zawodników, natomiast więcej barwy i blasku w stosunku do naszych przeciwników. Tego rodzaju krytyczne przygotowanie wyjdzie na pewno na zdrowie polskiemu zespołowi.

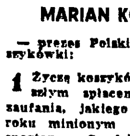

MARIAN KOZŁOWSKI

— prezes Polskiego Związku Koszykówki:

1 Życzę koszykówce w roku przyszłym spłacenia tego kredytu zaufania, jakiego udzieliła jej w roku minionym publiczna opinia sportowa. Spodziewam się, że to nastąpi, a wtedy dojdzie niewątpliwie do rewelacji tak na skalę krajową, jak i światową.

2 Przeglądowi Sportowemu życzę w 1959 r. utrzymania dotychczasowej proporcji i poziomu pisania o mojej dyscyplinie sportu.

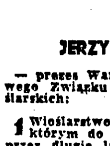

JERZY KORYCKI

— prezes Warszawskiego Okręgowego Związku Towarzystw Wioślarskich:

1 Wioślarstwo jest sportem, w którym do wyniku dochodzi się przez długie lata treningu. Z reguły nie ma tu błyskotliwych karier. Jakaś doskonała osada stopniowo wywalcza sobie wysoką pozycję na rynku międzynarodowym, osiąga coraz lepszą formę, dochodzi do szczytu i powoli zaczyna obniżać swoje loty. Nie ma tego rodzaju rewelacji, jak np. błyskawiczna kariera Elliotta w lekkoatletyce. Dlatego też takich rewelacji nie mogę się spodziewać w wioślarstwie w następnym sezonie.

Spodziewam się natomiast jednej rzeczy. W ubiegłym roku wioślarstwo radzieckie, angielskie i duńskie wyraźnie ustępowało niemieckiemu i włoskiemu. Spodziewam się więc w 1959 roku bardzo silnej walki o odzyskanie pozycji w Europie przez tamte państwa, szczególnie przez Związek Radziecki.

Jeżeli chodzi o Polskę, to mam nadzieję, że szturm młodych na pozycje starych mistrzów przyniesie pierwsze rezultaty.

2 Pod adresem prasy sportowej wioślarstwo ma taką pretensję, że pisze się o nas za mało i wyłącznie z okazji wielkich imprez. Brak jest codziennej drobnej informacji, a już dla artykułów półteoretycznych, czy popularno-szkoleniowych łamy prasy są zupełnie zamknięte. Chcielibyśmy, by i na takie artykuły znalazło się miejsce, szczególnie w „PS", który jest przecież pismem fachowym.

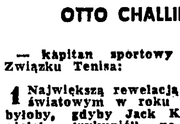

OTTO CHALLIER

— kapitan sportowy Polskiego Związku Tenisa:

1 Największą rewelacją w tenisie światowym w roku przyszłym byłoby, gdyby Jack Kramer nie zdołał „wykupić" na własność wszystkich czołowych graczy, na co się zanosi. Jest to rewelacja na „nie". Natomiast rewelacja na „tak" nastąpi, jeżeli mój pogromca z Nicei (bo i ja czasami grywam w tenisa), młody, utalentowany tenisista hiszpański Andres Gimeno, zostanie mistrzem Wimbledonu. Takie talenty nie rodzą się, niestety na kamieniu i w Polsce nie mamy talentu tej rangi. Toteż tego typu rewelacji na skalę krajową nie mogę oczekiwać.

2 Życzę Przeglądowi Sportowemu, który i tak dużo poświęca miejsca naszej dyscyplinie sportu, by miał wreszcie okazję pisać o prawdziwych rewelacjach w polskim tenisie. Tego samego życzy również sobie oczywiście nasz związek.

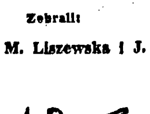

Zebrali:

M. Liszewska i J. Wojdyga

Feliks Stamm *Jerzy Zmarzlik*

200 NAJLEPSZYCH pięści

Kukier, Zawadzki, Rozpierski, Paździor, Drogosz, Misiak, Dampc II, Walasek, Pietrzykowski, Jędrzejewski na czele

DOROCZNYM zwyczajem w „sylwestrowym" numerze „PS" ogłaszamy listę najlepszych naszych pięściarzy. Tytuł może trochę mylić, że będzie to klasyfikacja 200 najlepszych bokserów. Nie, takiej klasyfikacji nie zamieszczamy, choć w wielu wagach bardzo by się przydała. Klasyfikujemy tylko setkę bokserów, a ponieważ każdy z nich ma po 2 pięści więc stąd „200 najlepszych pięści".

Ostatni raz układaliśmy z Feliksem Stammem listę najlepszych na zakończenie ubiegłego sezonu. Wystarczy porównać to zestawienie z dzisiejszym, żeby przekonać się, iż następuje poważna zmiana warty, przynajmniej na dalszych pozycjach. A przecież to zaledwie 6 miesięcy upłynęło od ostatniej listy.

Sądzimy, iż w kwietniu, kiedy ogłosimy listę sezonu, będzie ona jeszcze bardziej odmłodzona, odświeżona. W naszym boksie trwa wielka inwazja młodych talentów, których „szlifowanie" dopiero się przecież zaczęło. To dopiero pierwsze kroki.

ZESTAWIENIE „sylwestrowej" listy sprawiło nam nieco kłopotu. Bokserzy mieli w połowie nowego sezonu znacznie mniej spotkań, niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Było także mniej okazji do bezpośrednich pojedynków między pretendentami do czołowych miejsc, ponieważ okrojeniu uległy wszystkie ligi. Większość pięściarzy miała zaledwie po 9—10 spotkań. Tak więc poza realnymi miernikami trzeba było odwołać się trochę do intuicji, „nosa" i porównań pośrednich.

Nieco materiału dostarczyły rozgrywki ligowe, mecze międzypaństwowe i międzyokręgowe, których było ostatnio więcej, niż w poprzednich latach, turniej jubileuszowy PZB oraz pomniejsze, ale niezwykle cenne imprezy jak np. ostatni mityng kadry młodzieżowej na ringu Skry.

Listy nasze cieszyły się dotychczas dość dużym zainteresowaniem i wywoływały komentarze. Sądzimy, że także i tym razem nie obejdzie się bez komentarzy, dyskusji i krytyki. No cóż, taka jest dola tych, którzy układają listy w sportach niewymiernych. O ile łatwiejsze zadanie ma np. red. Głuszek, który może w lekkoatletyce oprzeć się na liczbach bezwzględnych.

Pierwsza lista w sezonie może wprawdzie kogoś krzywdzić, kogoś nie uwzględnić, kogoś faworyzować, ale tych pokrzywdzonych, albo nieuwzględnionych pobudza do większego wysiłku, do chęci udowodnienia, że ich nie doceniono.

Następna lista będzie już na pewno bardziej precyzyjna, całkowicie niemal zgodna ze stanem faktycznym, o ile to jest w boksie możliwe.

Poświęciliśmy z panem Feliksem wiele godzin na zestawienia, porównania i dyskusje nad poszczególnymi kandydaturami. Ostrym klasyfikatorem był zwłaszcza Feliks Stamm. Uznaliśmy zasadę, że nie zawsze o pozycji w tabeli mogą decydować wyniki walk bezpośrednich. Za najwyżej punktowane osiągnięcia uznaliśmy przede wszystkim wyniki walk w meczach o charakterze międzynarodowym. Dlatego też w kilku wypadkach bokserzy, którzy przegrali ze swoimi krajowymi rywalami, są od nich wyżej sklasyfikowani. Ale takie decyzje należą do wyjątków, na ogół bezpośrednie pojedynki, ewentualnie przy pośrednim porównaniu wartość i klasa pokonanych przeciwników, decydowały o miejscach.

*

Klasyfikacja nasza przedstawia się więc następująco:

WAGA MUSZA

1) **KUKIER** (Ł)
2) **OLECH** (Wr)
3) **ROMANISZYN** (Rz)
4) **RZEŹNIKIEWICZ** (Rz)
5) **BENDIG** (Bdg)
6) **DZIENIS** (W)
7) **JUSTKA** (Gd)
8) **LITKE** (P)
9) **OSTROWSKI** (W)
10) **SOKOŁOWSKI** (Śl)

Powstało pytanie, czy Olecha sklasyfikować przed Kukierem? Wprawdzie młody wrocławianin wygrał ze starym mistrzem w Łodzi, był to jednak sukces pojedynczy, nie poparty jeszcze innymi osiągnięciami wysokiej wartości. Kukier natomiast wypadł bardzo dobrze we wszystkich próbach międzynarodowych.

Oczywiście gdyby Olech powtórzył swój sukces i wygrał z Kukierem podczas turnieju Trybuny, to wówczas należałoby się zastanowić, czy przesunąć go na pierwsze miejsce.

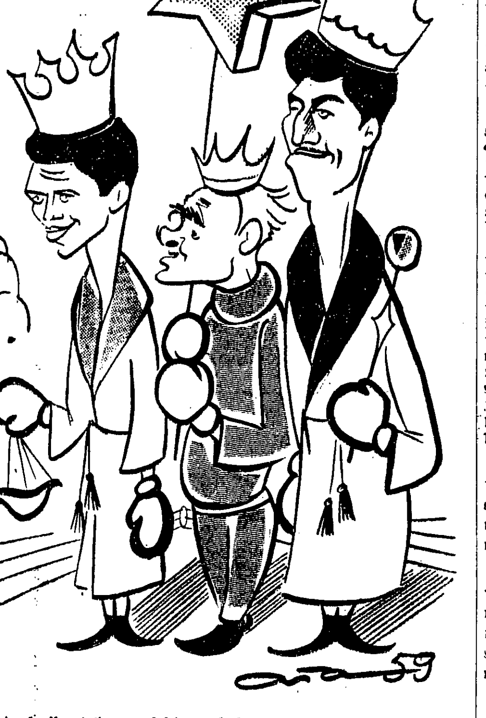

„*Trzej królowie*"... *polskiego boksu. Od lewej: Jagiełło, Stamm, Sobieski.*

Rys. E. Ałaszewski

Kukier i Olech mają jeszcze jednego rywala, który na razie zajmuje 5 miejsce, może jednak szybko awansować w górę. Jest nim rewelacja ostatnich mistrzostw Polski Bendig. Ale i on musi zdać trudny egzamin we Wrocławiu na turnieju Trybuny Ludu.

WAGA KOGUCIA

1) **ZAWADZKI** (Bdg)
2) **KOWALSKI** (Kr)
3) **WOJTOWICZ** (W)
4) **GUTMAN** (Śl)
5) **KUNC** (Bdg)
6) **SIELCZAK** (Szcz)
7) **MILCZAREK** (Wr)
8) **KULESZA** (Gd)
9) **BYCZKOWSKI** (Gd)
10) **WOŹNIAK** (Wr)

Waga kogucia ma chyba najbardziej wyrównany poziom, o czym świadczy fakt, iż taki dobry pięściarz jak Kulesza znajduje się dopiero na 8 miejscu. Wprawdzie Kulesza występuje w wadze muszej i koguciej, ale w przyszłości ma pozostać na stałe w tej wadze, więc właśnie tutaj został sklasyfikowany. Pozycja Zawadzkiego jest w tej chwili bardzo mocna, ale musi on stale oczekiwać ataku ze strony Wojtowicza i Gutmana.

WAGA PIÓRKOWA

1) **ROZPIERSKI** (Ł)
2) **BOCZARSKI** (Kr)
3) **ADAMSKI** (Bdg)
4) **BINEK** (Rz)
5) **BRYCHLIK** (Śl)
6) **KAŁUŻNY** (P)
7) **SZYBYLSKI** (P)
8) **NOWACZYK** (P)
9) **SOCZEWIŃSKI** (Rz)
10) **NIEDŹWIEDŹ** (W)

Mimo dość dobrej obsady nie znajdujemy tu żadnych rewelacji, ani nazwisk z wielką przyszłością. Czołówkę stanowią wypróbowane repy, którym przewodzi Rozpierski, nie tak już dobry jak w ubiegłym roku. Największym kandydatem na nowego lidera jest szybko powracający do formy Boczarski.

WAGA LEKKA

1) **PAŹDZIOR** (Kl.)
2) **WALCZAK** (Bdg)
3) **GRUDZIEŃ** (Wr)
4) **KULEJ** (Śl)
5) **KAMIŃSKI** (Bdg)
6) **NIEDŹWIEDZKI** (W)
7) **KASPRZYK** (Śl)
8) **BUDKUS** (Kl.)
9) **COZAŚ** (P)
10) **BRONIŚ** (Gd)

Zdziwić może tylko wysoka pozycja weterana Walczaka. Zdaniem Stamma przewyższa on jednak młodszych rywali rutyną przy równym mniej więcej z nimi poziomie technicznym. Waga lekka jest najsilniej obsadzona ze wszystkich dziesięciu, jest w tej chwili naszą popisową kategorią.

WAGA LEKKOPÓŁŚREDNIA

1) **DROGOSZ** (Kal.)
2) **WODZIK** (Gd)
3) **SOBOLEWSKI** (P)
4) **WOJCIECHOWSKI II** (Gd)
5) **PIŃSKI JÓZEF** (Szcz)
6) **KONARZEWSKI** (Rz)
7) **PAPIEŻ** (P)
8) **MILEWSKI** (Gd)
9) **CAPUTA** (Śl)
10) **ŁUKOMSKI II** (W)

Rewelacją jest w tej wadze Wodzik. Na pewno wielu miłośnikom boksu nazwisko to nie wiele mówi, przeszło jakoś niepostrzeżenie przez połowę sezonu.

Najlepszy dowód, iż nie dostał się on nawet do notesu kapitana PZB, który dopiero w ostatniej chwili powołał go na turniej „Trybuny Ludu".

Na wagę lekkopółśrednią patrzą wszyscy jednak tak pesymistycznie, iż właściwie zainteresowanie nią było znikome, a indywidualność Drogosza usuwała wszystko w cień.

Tymczasem Wodzik, 22-letni student politechniki gdańskiej w ciągu ub. kilku miesięcy pokonał wszystkich rywali z I ligi i to w większości wypadków przed czasem, a na punkty wygrał z samym mistrzem Polski Sobolewskim. Wodzik to nie żaden fuks na torze. Boksuje ładnie, w linii i ma bardzo silny prawy prosty. Nie wiadomo tylko, czy można będzie go powoływać na zgrupowania, turnieje i mecze międzynarodowe, bowiem nauka na jednym z ostatnich semestrów Politechniki zajmuje mu sporo czasu. Wszystko się w najbliższej przyszłości wyjaśni, bowiem p. Cendrowski przez swoich emisariuszy przeprowadza już dokładny wywiad.

A więc Wodzik jest właściwie największą rewelacją naszej listy, najbardziej sumiennie zapracował w zapomnieniu na wysoką pozycję na liście.

Waga lekkopółśrednia, jak wynika z zestawienia nie jest najgorzej obsadzona, znajdujemy tu nazwiska wielu wartościowych pięściarzy, niestety, nie międzynarodowego formatu.

WAGA PÓŁŚREDNIA

1) **MISIAK** (Rz.)
2) **GUZIŃSKI** (W)
3) **LEWANDOWSKI** (Bdg)
4) **RUSIN** (P)
5) **PIŃSKI Jan** (Szcz)
6) **KIEŚ** (W)
7) **OBAŁA** (P)
8) **RATAJ** (Śl)
9) **PYTEL** (Rz)
10) **ŁUKOMSKI I** (W)

Tutaj jest najgorzej. Jeden jedyny Misiak jest pięściarzem z perspektywami, Guziński z rutyną, a reszta stanowi uzupełnienie dziesiątki bez wielkich szans jednak na przywdzianie reprezentacyjnej koszulki.

WAGA LEKKOŚREDNIA

1) **DAMPC II** (Gd)
2) **SOBIESKI** (Ol)
3) **ŻMIJEWSKI** (Śl)
4) **ŁUKASIEWICZ** (Wr)
5) **CZAJĘCKI** (Kr)
6) **BARTOSIEWICZ** (Bdg)
7) **ARGIERT** (Rz)
8) **KNUT** (Bdg)
9) **ULMER** (W)
10) **KUCHARSKI** (Bdg)

Dobra dwójka na czele, dość późno „dojrzały" Dampc i robiący fantastyczne postępy Sobieski, mają podparcie w trzech rutynowanych mistrzach pięści Żmijewskim, Łukasiewiczu i Czajęckim. Na dłuższy czas mamy spokój z tą wagą.

WAGA ŚREDNIA

1) **WALASEK** (W)
2) **WASILEWSKI** (P)
3) **DAMPC I** (W)
4) **SZYMANIAK** (W)
5) **STRZĘBKOWSKI** (Bdg)
6) **MATERNOWSKI** (Rz)
7) **KUBACKI** (Ł)
8) **PILEWSKI** (Gd)
9) **PLANUTIS** (Bdg)
10) **MAŁEK** (Rz)

W tej wadze sytuacja nie jest za wesoła. Walasek przewyższa najbliższego rywala o klasę. Przyszłość to Szymaniak, Strzębkowski i Pilewski. Ale w tej chwili trudno byłoby w razie niedyspozycji wicemistrza Europy znaleźć pełnowartościowego zastępcę do reprezentacji.

WAGA PÓŁCIĘŻKA

1) **PIETRZYKOWSKI** (Śl)
2) **KLIŚ** (W)
3) **LEISS** (Bdg)
4) **MAJCHRZAK** (R)
5) **WASILEWSKI** (Kr)
6) **FRANEK** (P)
7) **KOŁODZIEJSKI** (P)
8) **CZYŻ** (W)
9) **ROSŁAW** (W)
10) **JÓZEFOWICZ** (Ł)

Nie został sklasyfikowany Wojciechowski I, ponieważ na skutek zmiany barw pauzował w pierwszej serii rozgrywek. Sytuacja jest tutaj dość jasna. O zastępstwo Pietrzykowskiego, gdyby nie mógł z jakichś powodów startować, mogą walczyć jedynie Kliś i Leiss, reszta konkurentów znacznie słabsza.

WAGA CIĘŻKA

1) **JĘDRZEJEWSKI** (Śl)
2) **GRZELAK** (P)
3) **GUGNIEWICZ** (Bdg)
4) **KUMOREK** (Śl)
5) **BRANICKI** (W)
6) **UCZYŃSKI** (Bdg)
7) **DREWICZ** (Rz)
8) **LASEK** (W)
9) **BIEL** (Kr)
10) **WITUCHOWSKI** (P)

Zdziwienie wywołać może pierwsza pozycja Jędrzejewskiego, który przegrał przecież ostatnio i z Grzelakiem i z Kumorkiem. Stamm twardo popierał jednak kandydaturę Jędrzejewskiego na pierwsze miejsce, twierdząc, iż reprezentant Łabęd wygrał w meczach międzynarodowych z zawodnikami, z którymi ani Grzelak, ani Kumorek nie potrafiliby zdobyć punktów. Najprawdopodobniej klasyfikacja w tej wadze wywoła dyskusje i spory, które za niecały miesiąc doczekają się swojego rozstrzygnięcia podczas turnieju Trybuny Ludu.

*

Tak więc przedstawia się nasza klasyfikacja za drugie półrocze 1958 w chwili, gdy sezon jeszcze się nie zupełnie rozkręcił. Jest to lista, na której prawdopodobnie pojawiły się po raz ostatni nazwiska niektórych weteranów pięściarstwa, bowiem, jak wspomnieliśmy na wstępie, ofensywa młodych trwa, a jej głównego natężenia trzeba się spodziewać podczas turnieju wrocławskiego i innych imprez, które odbędą się w lutym i marcu. A więc brońcie się „starzy", atakujcie młodzi. Dosiego Roku!

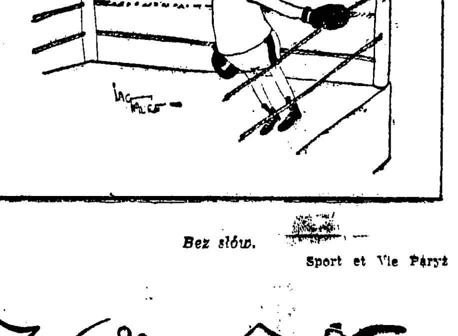

Bez słów.

Sport et Vie Paryż

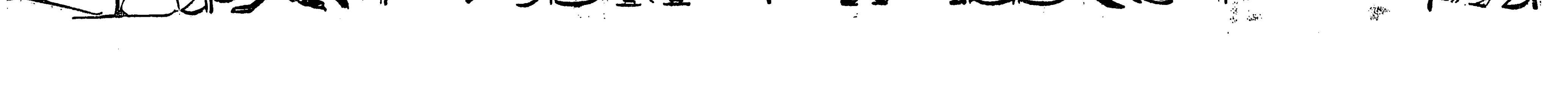

Wczoraj, dziś i jutro polskiego »wunderteamu«

KIEDY narodził się polski „wunderteam" lekkoatletyczny? Kogo zaliczyć do najstarszych jego uczestników? Od kiedy przyszły wielkie sukcesy? Jaką linię reprezentuje on obecnie i jakie ma perspektywy w najbliższej przyszłości? — Oto jedynie część pytań, nurtujących od dawna kibiców nie tylko królowej sportu. Nie trzeba nikomu udowadniać, że wychowanie dobrej drużyny lekkoatletycznej, to trochę więcej, niż skompletowanie dobrej piątki koszykarskiej, czy nawet jedenastki piłkarskiej.

Nie było dotychczas zespołu lekkoatletycznego na świecie, który by zdołał wyeliminować u siebie słabe punkty. Nawet taka potęga lekkoatletyczna, jak USA, z góry oddaje punkty w biegach długich i w trójskoku. Piętą achillesową drużyny ZSRR są od dawna biegi średnie, sprinty, a obecnie nawet biegi długie. W prasie NRF mówi się nie od dziś o konieczności podciągnięcia tyczki, trójskoku, czy młota, które kosztują doskonałą drużynę NRF wiele punktów. Skoro więc te uznane od lat potęgi mają wieczne kłopoty ze skompletowaniem idealnie równej drużyny, to jak tej sztuki mogła dokonać Polska, jeszcze niedawno nie licząca się zupełnie w tej dziedzinie sportu na świecie?

Spróbujmy pójść w noworocznym numerze śladami tworzenia się naszej drużyny lekkoatletycznej i w tym celu wrócić nieco wstecz.

Wczoraj

Pierwszy międzypaństwowy mecz lekkoatletyczny rozegrała Polska w roku 1949 (oczywiście chodzi o okres powojenny). Na warszawskim stadionie ponieśliśmy porażkę z Rumunią, przeciwnikiem zawsze słabszym od nas. Najlepszy to chyba dowód, jak źle było z nami... Czy znajdziemy tu pierwsze ślady „wunderteamu"? Przeglądamy listę czołowych naszych reprezentantów tego okresu. Nazwiska naturalnie znane, ale najczęściej znajdujemy je w zespołach trenerskich, niektóre zaś widnieją już tylko w kronikach.

Jednak w składzie odnajdujemy również dwa nazwiska, mające duży związek z naszym tematem. Chodzi o reprezentanta w oszczepie JANUSZA SIDŁĘ oraz 400-metrowca GERARDA MACHA, członków dzisiejszego „wunderteamu". A więc mamy pierwszą dwójkę ekipy, która za kilka lat będzie szła od zwycięstwa do zwycięstwa.

W następnym roku (1950) podczas meczu z CSR do dwójki tej dołączył tyczkarz **KRZESIŃSKI.** Znowu rok musimy czekać, aby z okazji trójmeczu, ZSRR — Polska — Rumunia w roku 1951 zanotować debiut reprezentacyjny **WAŻNEGO i Z. LEWANDOWSKIEGO.**

Doszukaliśmy się tak co prawda pięciu członków obecnego „wunderteamu", ale pozycja nasza była jeszcze wówczas bardzo słabiutka. Nadchodziły już jednak lata poprawy.

W roku olimpijskim (1952) odnajdujemy pierwsze ślady polskiej szkoły biegowej. W kolejnym meczu z NRD występują po raz pierwszy **KRZYSZKOWIAK** oraz **CHROMIK.** Na wysokich płotkach mamy już **KARDASIA i BUGAŁĘ,** w oszczepie obok Sidły występuje **RADZIWONOWICZ,** w skoku wzwyż wraz z Lewandowskim **SKUPNY,** na 400 m pł. debiutuje... **MAKOMAŚKI,** a w skoku w dal widzimy **GRABOWSKIEGO i IWAŃSKIEGO.** Wraz z poprzednią piątką daje nam to już 14 nazwisk, to jest połowę drużyny. **A więc mamy do czynienia z narodzinami „wunderteamu". Zapamiętajmy datę 5—7 września 1952.**

Rok 1953 to już czas planowej pracy z naszą kadrą i wysiłków trenerów w celu podniesienia poziomu najbardziej nawet zaniedbanych konkurencji. **Jedyny w tym roku mecz z NRD w Jenie przynosi światową sensację w postaci wyniku 80,15 Sidły w oszczepie. Tym wynikiem lekkoatletyka polska wyszła na światowe wody, a w drużynie znajdujemy równocześnie dalsze nazwiska dzisiejszych bohaterów.** A więc na 100 m debiutuje **BARANOWSKI,** Makomaski tym razem startuje już na 400 m płaskie i 400 m pł., w miocie dociągnął **RUT,** na 1500 m **S. LEWANDOWSKI i ŻBIKOWSKI,** na 10.000 m zobaczyliśmy **OŻOGA,** w tyczce **JANISZEWSKIEGO,** a w sztafecie 4×100 m **E. SCHMIDTA.**

Kiedy więc w roku 1954 podczas jedynego w tym roku trójmeczu naszej reprezentacji z NRD i Belgią do drużyny dołączyli jeszcze **KROPIDŁOWSKI, ORYWAŁ, PIĄTKOWSKI i SWATOWSKI, „wunderteam" stał się faktem.**

Od tej chwili można przyjąć, że szkielet drużyny został już skompletowany, a teraz zaczęła się walka o poziom. **Rok 1955 był pod tym względem przełomowy. Przyszli partnerzy silniejsi, przyszły cenne nad ni-mi zwycięstwa. Przypatrzmy się poniższej tabelce:**

1955

P. — CSR	102,5:106,5
P. — Węgry	89:122
P. — Norwegia	134:78
P. — Francja	108:103
P. — NRD — Belg.	168:155:99

1956

P. — Węgry	107:104
P. — Norwegia	114:98
P. — Francja	116:96
P. — Jugosławia	119:91

1957

P. — CSR	121:91
P. — Węgry	120:89
P. — NRF	117:103
P. — Norwegia	127:82
P. — W. Brytania	111:101
P. — NRD	128:84

1958

P. — CSR	129:83
P. — USA	97:115
P. — NRF	110:110

Pasmo zwycięstw datuje się właśnie od roku 1955. Po porażce z Węgrami „wunderteam" nie przegrał do dziś żadnego meczu, jeśli nie liczymy porażki z USA, porażki, która była zresztą wielkim sukcesem naszej lekkoatletyki. 14 zwycięstw i jeden remis, to bilans, jakim żadna dziedzina sportu w Polsce nie może się poszczycić.

Dziś

Jaką obecnie linię reprezentuje polski „wunderteam", wiemy na ogół z jego ostatnich występów. Tak się stało, że w roku mistrzostw Europy było mniej spotkań międzynarodowych, niż w ubiegłych latach, ale na trzy mecze odnieśliśmy jedno zwycięstwo (z CSR), ponieśliśmy jedną porażkę (z USA) oraz, co się rzadko w lekkoatletyce zdarza — jeden remis (z NRF). **Bilans ten wygląda liczbowo raczej skromnie, ale przecież nie ulega dla nikogo wątpliwości, że w minionym sezonie drużyna polska zrobiła znów olbrzymi skok do przodu, o czym najlepiej świadczą złote medale, przywiezione ze Sztokholmu.**

Czechosłowacy, zespół bynajmniej nie najsłabszy w Europie, doznał prawdziwej klęski w spotkaniu z polskim „wunderteamem", przegrywając na własnym terenie różnicą aż 46 pkt.! Przegrana Polaków z drużyną USA różnicą zaledwie 18 pkt. to wielki sukces naszych zawodników. O takim wyniku marzą największe potęgi światowe. Natomiast remisowy mecz z NRF zaskoczył mocno opinię sportową. Polacy byli w tym meczu z pewnością wielkimi faworytami, a jednak byli o krok od porażki. To prawda, że nasi przeciwnicy przygotowali się do tego meczu szczególnie starannie, że wszystko im „wychodziło", że dla odmiany nasi zawodnicy w niektórych konkurencjach wykazali już pewne przemęczenie sezonem. Mimo tego remisu rok 1958 trzeba nazwać najlepszym z sezonów naszej lekkoatletyki.

Jutro

Sprawa pierwsza, to: **czy zawodnicy, którzy byli „bezpośrednimi sprawcami" dotychczasowych sukcesów, zdołają nadal utrzymać się w tej samej formie, druga zaś, to: jakie mamy możliwości wymiany tych, którzy nieuchronnie będą musieli kiedyś odejść.**

Drużyna nasza nie jest najmłodsza. To nie ulega wątpliwości. Mach w przyszłym roku liczyć będzie sobie 33 lata, Krzesiński 32, Krzyszkowiak, Skupny, Grabowski, Ważny i Niklas — po 30, Baranowski, Orywał, S. Lewandowski, Ożóg, Z. Lewandowski, Auksztulewicz i Radziwonowicz — po 29, a E. Schmidt, Makomaski, Chromik, Bugała, Janiak, Kropidłowski, Janiszewski, Rut — po 28. Po 27 lat będą mieli Żbikowski, Kotliński, Kwiatkowski i Wachowski, po 26 — Folk, Jarzembowski, Sosgórnik i Sidło i po 25 — Swatowski, Kaźmierski, Malcherczyk i Kopyto. Jeśli przyjmiemy, że okres najwyższej formy, połączonej z dużym doświadczeniem przypada na wiek 25—28 lat, to poważna część polskich zawodników pułap ten osiągnęła.

Nie znaczy to jednak, że zawodnik nie może się już dalej rozwijać. Najlepszym przykładem może być tutaj Krzyszkowiak, który w tym sezonie mając 29 lat poprawił niemal wszystkie swoje rekordy życiowe. Najprawdopodobniej w roku przyszłym z drużyny ubędzie Mach i chyba... nikt więcej. Bo nawet 32-letni Krzesiński nie wykazuje żadnych oznak zastoju, a Grabowski jeszcze niedawno oświadczył, że nie zamierza ustępować na razie miejsca młodszym.

Jak z tego widać do Olimpiady w Rzymie w drużynie polskiej nie zajdą większe zmiany. Do stolicy Włoch wyślemy drużynę nie młodą (przeciętnie), **ale niezwykle doświadczoną, otrzaskaną w najcięższych bojach. Ta drużyna powinna wywalczyć plon, niewiele odbiegający od sztokholmskiego. W spotkaniach międzypaństwowych siła „wunderteamu" w każdym razie nie powinna zmaleć.** Będzie ona z pewnością większa, ale sęk w tym, że również nasi rywale (NRF) robią szybkie postępy. **W ciągu najbliższych dwóch lat do „wunderteamu" awansuje nieco młodzieży. Myślę tutaj przede wszystkim o niedawnym juniorze JUŻKOWIAKU, który już niedługo powinien być partnerem Folka na setkę, 22-letnim BOŻKU, mającym za zadanie zapełnić lukę po Machu, 24-letnim olbrzymie BEGIERZE, już w tym sezonie okupującym drugą lokatę za Piątkowskim w dysku. Nazwiska JAKUBOWSKIEGO, BRUSZKOWSKIEGO, OLESZKIEWICZA czy NIKICIUKA, wymieniane są również często, ale oni mają trudniejszą drogę do drużyny.** A przecież dopiero na drodze wielkiego rozwoju znajdują się: Jochman, Zimny, Cieply, Piątkowski, J. Scnmidt, a także Sidło.

Dopiero po Igrzyskach w Rzymie z drużyny powinien odejść poważny procent reprezentantów, może nawet ze dwudziestu. Czy tak duży ubytek odbije się na naszej sile bojowej? Takie niebezpieczeństwo istnieje, ale dwa lata, to jednak dosyć, aby wykształcić następców. Myślą o tym również nasi trenerzy, zdający sobie sprawę, że na przychodzi każdego zawodnika kiedyś kres.

Zygmunt Głuszek

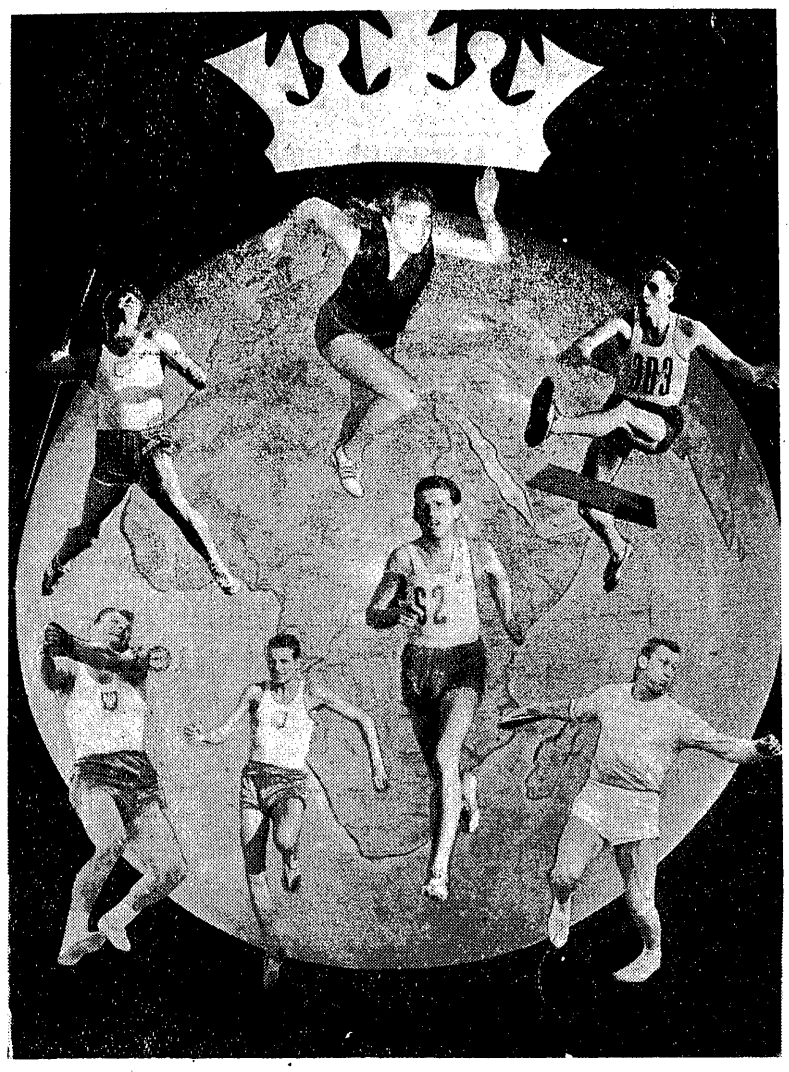

Fotomontaż „PS" — M. Szymkowski

Wyrównany układ sił na polsko-brytyjskiej BIEŻNI

Dla „PS" napisał Jack Crump

DRUGI dopiero raz zabieram głos na „honorowych", świątecznych szpaltach Przeglądu Sportowego, by u progu Nowego Roku podsumować nasze angielskie osiągnięcia na tle osiągnięć polskiej lekkoatletyki, a wydaje mi się, jak gdybym czynił to już od wielu, wielu lat. Prawo tradycji ma w moim kraju wielkie, niemal przysłowiowe znaczenie. Skoro mój wkład do noworocznego numeru największego polskiego czasopisma sportowego staje się ponickad tradycją, sięgnę przypuszczalnie w przyszłym, przedolimpijskim roku już automatycznie po pióro, by znowu podzielić się z czytelnikami „PS" refleksjami na nieodmiennie młody, nie przykrzący się żadnemu działaczowi temat — sytuacji w lekkoatletyce naszych dwóch krajów.

Wobec wielkich sukcesów, jakie odnieśli w 1958 roku biegacze brytyjscy i polscy, spróbuję zbilansować dzisiaj ich wspólną rywalizację w roku, za którym lada chwila zamkną się drzwi czasu.

DOMENA ANGLIKÓW

Główna siła brytyjskiej lekkoatletyki koncentrowała się zawsze w biegach średnich i długich, tzn. w konkurencjach od 800 m — 10.000 m włącznie. Nie da się zaprzeczyć, że i sprint brytyjski znalazł w osobach 19-letniego **Petera Radforda, Davida Segala, Johna Younga i Robina Brightwella** godnych przedstawicieli, dystansując, z wyjątkiem NRF, wiele krajów europejskich. Także w biegu na 400 m, dzięki posiadaniu takich zawodników, jak John Wrighton, John Salisbury i z pół tuzina innych dobrej klasy biegaczy W. Brytania jest silniejsza, niż jakikolwiek kraj w Europie.

Nie tracąc z oczu tych faktów śmiem twierdzić, że mimo to główną siłą brytyjskiej lekkoatletyki pozostały tradycyjnie silne biegi średnie i długie, w których nie brak nam, oprócz młodego, bardzo obiecującego narybku, coraz dojrzalszych, wysokiej klasy zawodników. **Brian Hewson, Mike Rawson, Mike Farrell, Derek Johnson —** to wypróbowani biegacze na 800 metrów, a jeśli przypomnę Wam trudności, jakie mieliśmy w wybraniu pośród licznych kandydatów — reprezentantów na mistrzostwa Europy 1958 r. w biegu na 1500 m, to zaoszczędzę sobie chyba wyliczania długiej listy nazwisk.

Jeśli chodzi o 5000 m, to mimo porzucenia bieżni europejskich przez Gordona Pirie, nie brak i tutaj zawodników o doskonałych kwalifikacjach. **Stan Eldon, Peter Clark, John Merriman,** młodziutki **Alan Cockering, Roger Dunkley,** to zaledwie część zawodników, którymi dysponujemy.

Na 10.000 m. ujemnie odbiły się na wynikach 1958 r. kontuzje **Franka Sando i Ken Norrisa,** jak również przejściowy spadek formy **George Knighta i Alana Perkinsa,** ale wszyscy oni będą startowali w przyszłym roku i wobec tego nie mamy powodu do obaw i na tym dystansie.

WYRÓWNANE SIŁY ŚREDNIODYSTANSOWCÓW

Tak się dziwnie złożyło, że w tych konkurencjach W. Brytania i Polska są jednakowo silne i nie ma właściwie w Europie trzeciego kraju, który mógłby przeciwstawić się im z powodzeniem na średnich i długich dystansach.

Niewątpliwie Polska zrobiła w ubiegłych 12 miesiącach nieprawdopodobne postępy. Już w 1957 r. lekkoatleci polscy nie byli bynajmniej słabi, ale począwszy od owego czerwcowego mityngu w Vancouverze, kiedy osiągnęli sukcesy większe od naszej nielicznej drużyny, konsekwentnie aż do końca sezonu 1958 r. biegacze Wasi stali się o wiele szybsi, silniejsi i nieskończenie lepsi pod względem taktycznym, aniżeli przedtem.

Moi serdeczni przyjaciele **Witold Gierutto i Jan Mulak** nie zdradzili tajemnicy powodzenia swoich podopiecznych, ale jak sądzę, główną sprężyną tych postępów był lepszy trening, więcej zaciętych spotkań i większe wzajemne zaufanie.

O ile mi wiadomo Polska ma 7 zawodników, osiągających na 800 m czas w granicach 1.50.0, a to jest już bardzo wiele. **Para Makomaski-Kaźmierski może dzisiaj stawić czoła każdej najsilniejszej parze świata, ale indywidualnie i w drużynie nie są oni lepsi od Briana Hewsona i Dereka Johnsona lub Hewsona i Mike Rawsona.**

Cóż to byłby za piękny bieg, gdyby Polska, W. Brytania i NRF spotkały się w sztafetowym biegu 4×800 metrów. Każda z 3 drużyn pobiłaby prawdopodobnie rekord świata, ale zwycięstwo przypadłoby, moim zdaniem, w udziale Anglikom.

Na 1500 m Orywał i Jochman oraz Lewandowski w dobrej formie są zdolni do zwycięzenia każdego przeciwnika, ale Brian Hewson, Mike Blagrove, Gordon Everett i Derek Ibbotson w formie dorównują im całkowicie. Osobiście uważam Hewsona za pierwszego w Europie na obu dystansach — 800 i 1500 metrów.

NAJLEPSZY KRZYSZKOWIAK

Właściwie tylko w konkurencji 5.000 i 10.000 metrów posiada Polska w obecnej chwili nieco lepszych biegaczy od Anglii. Spośród polskiej Wielkiej Czwórki: **Krzyszkowiak, Chromik, Zimny i Ożóg,** uważam niewątpliwie za najlepszego **Krzyszkowiaka. Jakiż to świetny biegacz! Moje angielskie lekkoatletyczne serce jest pełne zachwytu dla tego rasowego zawodnika, który z równą doskonałością daje sobie radę, biegnąc w stawce biegaczy, jak prowadząc ją; potrafi z równą swobodą narzucić niszczycielskie tempo w środku biegu, jak i na finiszowym okrążeniu. Ilekroć go widzę na bieżni, jestem na nowo pełen entuzjazmu dla jego stylu, a triumf, jaki odniósł w Sztokholmie, potwierdził ostatecznie jego wielkość.**

Wśród ludzi, przyglądających się sztokholmskim zawodom, byli i tacy, którzy twierdzili, że gdyby Eldon biegł rozsądniej, to wygrałby z Krzyszkowiakiem. Uważam, że mniemanie takie jest całkowicie błędne. Nikt nie mógł tego dnia pokonać Krzyszkowiaka. Wierzę chętnie w to, że w ciągu najbliższych 12 miesięcy Eldon, Clark i Cockering wyrosną na doskonałych biegaczy, ale już zwycięstwo Krzyszkowiaka nad Knightem w Vancouverze przekonało mnie, że jest on Nr 1 w Europie na 5 000 i 10 000 m. Nie znaczy to, że nie doceniam możliwości Chromika. Mimo że nie brak dobrych steeple chase'istów w Europie, Jerzy jest niewątpliwie najlepszym z nich. **Chromik i Krzyszkowiak w parze na 5000, 10000 lub 3000 m z przeszkodami — to najlepszy tandem świata.**

Reasumując to wszystko, muszę stwierdzić, że bilans rywalizacji Polaków i Brytyjczyków na średnich dystansach wypadł na naszą korzyść, natomiast dystanse długie dają lekką przewagę Waszym biegaczom. W sprintach, biegu na 400 m i w płotkach lepsi są chyba Anglicy, ale w meczu, rozegranym wg pełnego programu, powinni zwyciężyć Polacy. Jak z tego wynika, niewiele brakuje jednej lub drugiej stronie, by szala została przeważona.

Miniony rok był wspaniałym okresem dla Polski: równorzędne z NRF pierwsze miejsce w Europie z nieznaczną przewagą nad ZSRR — sądzę, że przyjaciele, których Wam przecież nie brak, przyjęli Wasze osiągnięcia z wielką radością.

NOWOROCZNE ŻYCZENIA LEKKOATLETÓW ALBIONU

Brytyjczycy gratulują Wam raz jeszcze tego wypracowanego i dobrze zasłużonego sukcesu. Już dziś podniecamy się radosną myślą o następnym wspólnym spotkaniu lekkoatletów Polski i Anglii w przyszłym roku, o pełnych emocji, przyjaznych pojedynkach i o ich wysokiej klasy wynikach. **W imieniu moich kolegów — naszych działaczy, oficjeli, trenerów oraz lekkoatletów, przekazuję polskim działaczom, trenerom i zawodnikom szczere i serdeczne życzenia szczęśliwego i pomyślnego 1959 roku. Życzę nam i Wam udanych, pięknych wspólnych spotkań, których czystej rywalizacji nie przesłoni z pewnością nigdy brak wzajemnego szacunku lub dobrej woli.**

Czy wiecie, że...

...lekkoatletyczna reprezentacja męska Polski rozegrała dotychczas 64 mecze i trójmecze, z czego na lata przedwojenne przypada 37 i na powojenne 27. Gdyby trójmecze liczyć jako osobne mecze z poszczególnymi państwami to wówczas liczba spotkań urośnie do 76.

Bilans tych spotkań jest bardzo korzystny dla drużyny polskiej, która odniosła 40 zwycięstw, 3 razy zajmowaliśmy drugie miejsca (w trójmeczach), raz padł remis i tylko 20 spotkań zakończyło się porażką Polaków. W okresie 1950—1958 drużyna odniosła prawie połowę zwycięstw bo aż 19, jednak największe prosperity przyszło dopiero w latach 1956—1957, kiedy to Polacy wygrali wszystkie mecze (łącznie 10) i to z przeciwnikami najwyższej klasy.

W historii polskiej lekkoatletyki drużyna męska spotykała się z reprezentacjami 20 państw: 13 razy z CSR (8 zwycięstw), 10 razy z Węgrami (2), 6 razy z Belgią (6), 6 razy Estonią (6), 6 razy z Łotwą (5), 6 razy z NRD (6), 4 razy z Rumunią (3), 4 razy z Jugosławią (3), 4 razy z Norwegią (4), 3 razy z Włochami (0), 3 razy z Francją (3), 2 razy z Niemcami (0), 2 razy z NRF (1 plus remis), po razie z Austrią (0), Bułgarią (1), Grecją (1), Litwą (1), ZSRR (0), W. Brytanią (1), USA (0).

Zespół kobiecy rozegrał dotychczas 38 meczów i trójmeczów z czego aż 24 po wojnie. Spotkań dwustronnych było 41, 20 spotkań przyniosło zwycięstwa drużynie polskiej, trzykrotnie nasze panie zajmowały drugie miejsca (w trójmeczach), jeden mecz zakończył się remisowo i 14 spotkań przyniosło porażkę Polkom. Kobiety znalazły swe przeciwniczki w reprezentacjach 15 państw, przy czym najczęściej spotykały się:

11 razy z Czechosłowacją (8 zwycięstw), 7 razy z NRD (2 plus 1 remis), 4 razy z Węgrami (2), 3 razy z Austrią (1), 3 razy z Niemcami (0), 2 razy z Belgią (2), 2 razy z Japonią (2), 2 razy z Włochami (1), po razie z Bułgarią (1), Holandią (1), Litwą (1), Rumunią (1), ZSRR (0), W. Brytanią (0) i USA (1).

*

...pierwsze mistrzostwa Polski w konkurencjach męskich rozegrane zostały już w roku 1920. Mistrzami wówczas zostali:

100 m: Sośnicki, Polonia W-wa — 11.4, 200 m: Habich, Polonia W-wa — 24.2, 400 m: Sterba, Pogoń Lw. — 55.0, 800 m W. Kuchar, Pogoń Lw. — 2:04.6, 1.500 m: Latawiec, Pogoń Lw. — 4:26.6, 3.000 m. Latawiec, Pogoń Lw. 9:47.8, 5.000 m: Vondrausch, Czarni Lw. — 18:12.8, 110 m pł.: W. Kuchar, Pogoń Lw. — 18.0, w dal z miejsca: Sośnicki, Polonia W-wa — 2.87, wzwyż z miejsca: Sośnicki, Polonia W-wa 1.26, wdal: Sośnicki, Polonia W-wa — 6.19, wzwyż: Kirchner, Czarni Lw. — 1.55,5, tyczka: Cybulski, Pogoń Lw. — 3.21, trójskok: Sośnicki, Polonia W-wa — 12.68, kula: Cybulski, Pogoń Lw. — 11.25, dysk: Szydłowski, Pogoń Lw. — 37.75, oszczep: Szydłowski, Pogoń Lw. — 48.40, 4 x 100 m: Polonia W-wa — 48.2.

Z perspektywy prawie 40 lat wyniki starych mistrzów budzą ironiczny uśmieszek, ale pamiętajmy, że były to pierwsze kroki zorganizowanej lekkoatletyki polskiej. Wówczas tytuły mistrzowskie podzieliły między sobą zawodnicy zaledwie trzech klubów: Pogoni i Czarnych ze Lwowa oraz warszawskiej Polonii. O ile sukcesy lwowiaków, mających najbogatsze tradycje w tej dziedzinie sportu, są zrozumiałe, o tyle sukcesy warszawiaków zasługują na uwagę. Był to pierwszy sygnał, że w stolicy lekkoatletyka padła na podatny grunt, czego dowiodła w późniejszym czasie święta wojna pomiędzy takimi klubami jak: AZS, Polonia i Warszawianka.

Szczególne powody do dumy miał zwłaszcza Stanisław Sośnicki, który wywalczył aż 5 tytułów mistrzowskich. Nie był to jednak rekord w tej dziedzinie. W rok później zawodnik lwowskiej Pogoni Cybulski zdobył aż 7 tytułów (w dal i wzwyż z miejsca, tyczka, kula, dysk oraz kula i dysk oburącz).

Kobiety nie chciały pozostawać w tyle za mężczyznami i swoje mistrzostwa rozegrały po raz pierwszy również bardzo wcześnie bo już w roku 1922. Program mistrzostw obejmował aż 4 konkurencje, a tytuły mistrzowskie zdobyły:

60 m: Szmendziukówna, Pogoń Lw. — 8.7, w dal: Szmendziukówna, Pogoń Lw. — 3.93, wzwyż: Pawska, AZS W-wa — 1.09, 4 x 50 m: Pogoń Lwów — 32.0.

Początek nie był więc budujący, ale jaki początek nie jest trudny? Dzisiaj Krzesińska skacze prawie dwa razy tyle co pierwsza mistrzyni Polski, co wcale nie umniejsza sukcesu tej ostatniej, jeśli weźmiemy pod uwagę że dziewczyna ćwicząca na boisku była „wyklinana" przez rodzinę, szkołę i znajomych...

*

...dotychczas najwięcej tytułów mistrza Polski zdobył Antoni Cejzik, pierwszy polski dziesięciobojsta z prawdziwego zdarzenia, olimpijczyk i reprezentant, mogący pochwalić się nie byle jaką wszechstronnością. Tytuły zdobywał w biegach z płotkami, w skokach wzwyż i trójskoku, kuli, dysku, miocie i, oczywiście, wielobojach.

Rekordzista w posiadaniu tytułów mistrzowskich zginął w 1939 r. podczas obrony Warszawy. A oto ci, którzy najczęściej stawali na podium dla mistrzów:

23 razy — A. Cejzik,
17 razy — W. Gierutto,
16 razy — S. Kostrzewski,
14 razy — Z. Heljasz,
13 razy — R. Szydłowski,
12 razy — K. Biniakowski,
11 razy — S. Sośnicki, K. Kucharski, K. Hoffman, J. Kielas,
10 razy — A. Szenajch, J. Kusociński, J. Noji, E. Adamczyk, J. Sidło,
9 razy — K. Cybulski, W. Kuchar, S. Adamczak, G. Mach,
8 razy — A. Freyer, A. Maszewski, J. Staniszewski, S. Sikorski, E. Luckhaus, M. Łomowski, A. Graj, J. Chromik,
7 razy — W. Dobrowolski K. Fiałka, W. Puzio, Z. Stawczyk, T. Krzyżanowski, Z. Krzyszkowiak
6 razy — J. Baran A. Wieczorek, B. Zasłona, A. Morończyk, J. Szwarcot, E. Bugała, S. Ożóg,
5 razy — S. Rothert, W. Trojanowski, Więckowski, J. Pławczyk, W. Niemiec, B. Masłowski, Z. Weinberg, J. Kotliński, T. Rut, M. Folk.

Największym rywalem Cejzika był Witold Gierutto. Jak z tego widać, „wielobojcom" siłą rzeczy najłatwiej było zdobywać po kilka tytułów na jednych mistrzostwach. Nie ulega wątpliwości, że „złote czasy" zdobywania nawet po pięć czy siedem tytułów w roku, należą do bezpowrotnej przeszłości. Coraz wyższy poziom lekkoatletyki zmusza zawodników do bardzo wąskiej specjalizacji, a konkurencja ma tutaj również wiele do powiedzenia.

Z zawodników okresu powojennego najwyżej sięgnął najlepszy nasz długodystansowiec pierwszych lat powojennych Jan Kielas, który swój prymat zachował aż do roku 1952, startując jeszcze na igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach. Jego pozycja z 11 tytułami jest jednak zagrożona przez Janusza Sidłę, który jest obecnie tylko o jeden tytuł gorszy. Następni kandydaci do wyższych pozycji to Chromik i Krzyszkowiak. Wszystkim jednak do rekordu A. Cejzika jeszcze bardzo daleko.

(Z. G.)

Taka walka musi przynieść rekord. W pamiętnym meczu z Wielką Brytanią na Stadionie X-lecia walka sztafet 4 x 400 dostarczyła kolosalnych emocji. Właśnie na ostatnią zmianę wyruszają Jomaski i Wrighton, który w rok później zdobył tytuł mistrza Europy na 400 m. Na naszym zdjęciu odebrał on pałeczkę od Salisbury'ego, który w Sztokholmie zdobył tytuł wicemistrzowski. Z takimi przeciwnikami Polacy, mimo braku Swatowskiego, przegrali sztafetę tylko o 0,1 sek., ustanawiając do dziś niepobity rekord Polski — 3:08,7.

Fot. „PS" E. Warmiński

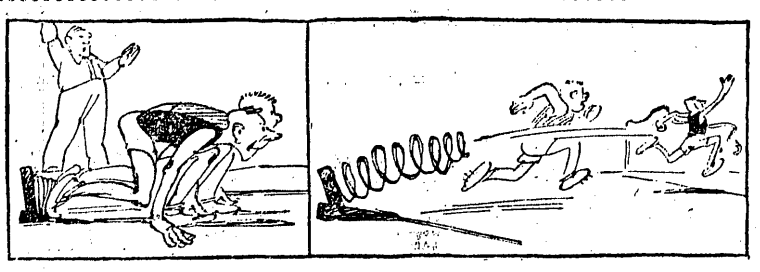

To się nazywa start!

Sowiecki Sport

— *Kogo pan, panie Ziółek szanowny, typuje na pierwszym miejscu w tych wyborach 10 najlepszych sportowców ubiegłego roku?*

— *Agrypienkie.*

— *Kogo?*

— *No nie słyszysz pan? Agrypienkie.*

— *Kto to jest?*

— *Jak to kto jest?! — Największy warszawski sportowiec, chociaż znany także samo w mieście Łodzi, Wrocławiu i Sopotach.*

Ale w jakiej dyscyplinie on walczy: w boksie, w biegach, rzutach?

— *W biegach.*

— *Wiesz pan że nie dało mnie się słyszyć. Chromika znam, Krzyszkowiaka znam, z Makomaskiem jednem tramwajem jeżdżę, ale ten... jak się nazywa?*

— *Agrypienko — największa wypłata w sezonie, za dwulatka.*

— *Żokiej znaczy się.*

— *Rzecz jasna, że żokiej.*

— *A to co innego. Wyścigi konne — nie sport.*

— *Tylko co, handel mięsem końskiem?*

— *Handel nie handel, ale przedsiębiorstwo loteryjne, fonkcjonariusze praw sportowych nie posiadają. To są zawodowcy.*

— *Dlaczego, dlatego że można przy nich parę złotych przykaraulić? Jaka mnie różnica, czy sportowiec na koniu jedzie, czy piechotą zapycha, żeby tylko rekorda szybkości pobijał.*

— *Jednakowoż jest różnica, że sportu nie można czerpać zysków — tak opiewa leguramin.*

— *To trzeba zmienić leguramin.*

— *Na razie pański Agrypienko odpada. Daj pan innego kandydata.*

WIECH

Kwiczołek odpada!

— *Może być z motorowej branży?*

— *Może.*

— *Kwiczołek!*

— *Żużel?*

— *Nie żużel — koks.*

— *Jak to koks?*

— *No koks wozi z gazowni do klientów półciężarówką.*

— *A cóż to ma wspólnego ze sportem?*

— *Szkoda żeś pan nie był na imieninach u mojego koleżki niejakiego Kijanki Szczepana na Nowem Bródnie, to byś się pan przekonał — ma, czy nie ma. O motoryzacji w Ameryce się zgadało i goście zaczęli chwalić amerykańskich szoferaków, że takie otczajne, przez ogień i wodę z maszynami skaczą. Wtenczas Kwiczołek, któren też między zaproszonemi się znajdował i mocno już był podkropiony, wstaje i zaznacza, że on potrafi kropka w kropkie to samo. Goście zaczęli śmichy chichy z niego robić, wtenczas się ukłonił i wyszedł. Nie było go może dwadzieścia minut, w końcu przychodzi, kłania się i zaznacza, że półciężarówka stoi przed bramą, a on całe towarzystwo na ulice zaprasza, żeby pokazać wyższe szkołe jazdy. I kto ma życzenie może wsiąść do środka. Połowa gości, ma się rozumieć, wsiadła. Jak Kwiczołek dał gazu, jak poszedł ulicą, sadysfakcja była patrzyć. Zaraz na rogu świętego Wincentego latarnie przewrócił, o dwa domy dalej drzewko z korzeniamy wyrwał. Budkie gazeciarza w drebiezgi rozwalił, i ani na jedne minute się nie zatrzymał. Posuwał podobnież setkie na godzine. Objechał całe Nowe Bródno i do Zacisza się dotaszczył, tu rowu nie przyuważył, fordziak fiknął trzy kozły i goście co do jednego w wode. Kwiczołek tylko maszyne podniósł i gazu dalej. Wrócił się na Nowe Bródno, ujechał w podwórko, rozbił śmietnik, dał dubla w okno i wjechał do mieszkania gdzie sie przyjęcie odbywało. Pogotowie trzy razy obracało, a sam protokół milicja cztery godziny spisywała.*

— *No to faktycznie duży sportowy wyczyn, ale nagrode wręczyć może pańskiemu koleżce tylko sędzia powiatowy na miasto stoleczne Warszawa i po mojemu z całą pewnością wręczy mu dyplom na 6 miesięcy mamra. Jednakowoż do amatorów sportowców także samo zaliczyć go nie można.*

— *No to daj mnie pan święty spokój, jak każdy mój kandydat do kitu.*

— *Bo dajesz pan albo gazownika, albo osobistość urzędową z Towarzystwa hodowli koni. Czy nie lepiej przejrzyć gotową liste sportowców i wybrać coś pod gust?*

— *No to dawaj ich pan po kolei.*

— *Chromik.*

— *A co on zrobił?*

— *Ganiał się przez płotki z Niemcami.*

— *I uciekł jem?*

— *Owszem.*

— *Maładiec chłop. Chociaż to jeszcze nic takiego. Mój szwagier z cykorii przed niemi, parkan trzy metry wysokości przy rzeźni na Pradze, przeskoczył. Dawaj pan następnych.*

— *Krzyszkowiak. Pieszy zapych na 5 i 10 kilometrów.*

— *Po co? Komunikacja tramwajowa się przecież poprawiła. Ale niech będzie.*

— *Rut, rzut młotem.*

— *Taki raptus, młotkiem rzuca..? I za to ma dostać nagrodę? Nie zgadzam się. Tak samo mu się odsiadka należy jak i Kwiczołkowi. Jeżeli mnie pan Kwiczołka odrzucasz, a Ruta wtranżalasz ,to nie należe do spółki. Sam sobie własną liste ułoże i zobaczysz pan czyja będzie na wierzchu, czyjąś „Przegląd Sportowy" wydrukuje?! Kto walizkowy gramofon wygra?!*

Życzenia Wielkich Wygranych
TOTALIZATOR SPORTOWY

Tragedia optymistyczna Jerzego Jankowskiego

(w trzech aktach z prologiem i epilogiem)

Osoby: Jerzy Jankowski i Narrator

PROLOG

NIE jest to sztuka teatralna, jakby na to wskazywała nazwa wstępu i podział dalszych części tego reportażu. Ale właśnie życie przypomina tak bardzo teatr z jego nieprawdopodobnymi, zdawałoby się, kolejami losów bohaterów, że autorowi mimo woli narzucił się ten podział. Historia, z którą chcę Was zapoznać też nie jest banalna. Mówi ona o „come back" sportowca, który potrafił przezwyciężyć własne kalectwo i w taki sposób wykorzystać nowoczesną technikę, że po latach przerwy znów stanął na białej linii startu, znów jako pierwszy wpadł na białą linię mety. Nie często jesteśmy świadkami takiej siły woli i samozaparcia. I dlatego myślę, że warto poświęcić kilkaset wierszy tej tragedii z optymistycznym zakończeniem.

AKT I

Scenerią pierwszego aktu jest słoneczno-błotnista. Świeci bowiem słońce, ale drogi wokół Gottwaldova, w większości gliniaste, są śliskie i nieprzyjemne.

NARRATOR: Jeden po drugim odpadają zawodnicy, często z ciężkimi kontuzjami. Zespół Polski A, walczący o Srebrną Wazę podczas rozgrywanej tu Sześciodniówki motocyklowej 1953 r. składa się z doskonałych jeźdźców: Stanisław Brun, Zbigniew Kupczyk i Jerzy Jankowski — to nazwiska znane dobrze z tras wyścigowych czy rajdowych. U szczytu sławy jest Jerzy Jankowski. W poprzednim roku zdobył tytuł mistrza wyścigowego Polski w kat. 125 i 350 ccm. oraz rajdowego mistrza Polski w kat. 250 ccm. Trzy tytuły, to dużo... Dziś, na starcie do czwartego etapu Sześciodniówki, staje bez punktów karnych. Złoty medal jest coraz bliższy. Wydaje mu się, że szachownica na chorągiewce startera ma nie czarne, lecz złote pola. Szybko biegną sekundy, opada w dół szachownica, zaczyna grać silnik i jeszcze jeden zawodnik wyjechał na długą trasę.

JANKOWSKI: Zbliżałem się do miejsca, gdzie trasa miała kształt litery „S". Widocznością była utrudniona przez żywopłot. Jechałem z szybkością ok. 60 km na godz. Wszedłem już w zakręt i wychodziłem z prawego łuku w lewy, gdy z przeciwnej strony ukazał się cywil na motocyklu. Leciał znacznie szybciej, niż ja. W ułamku sekundy dostrzegłem, że wynosi go na zewnątrz i pędzi prosto na mnie. Uchyliłem się w prawo, ale już było za późno. Kropnął w mój lewy bok z całej siły. Mimo tego potężnego uderzenia nie straciłem przytomności. Widziałem jak widzowie chcieli bić sprawcę wypadku. Przytomność straciłem dopiero po godzinie, gdy wylądowałem w szpitalu w Ołomuńcu.

NARRATOR: Wynikiem zderzenia było dziesięć złamań lewej nogi, ręki i szczęki.

JANKOWSKI: W pierwszych chwilach po wypadku byłem przytomny i nawet zdrową ręką starałem się wepchnąć złamaną i wybitą szczękę na jej miejsce. Udawało mi się na chwilę, ale zaraz znów wypadała.

AKT II

Biały, czyściutki szpital w Ołomuńcu.

JANKOWSKI: Leżałem tam dwa miesiące. I wtedy popełniłem zasadniczy błąd — zbyt szybko wróciłem do kraju. Rozpoczęły się wizyty po różnych sławnych klinikach i u równie sławnych chirurgów. Nic to jednak nie pomagało. 10 miesięcy po wypadku czułem się gorzej, niż po dwóch. Wiadomo zresztą już było, że pozostanie trwałe kalectwo. Oznaczało to koniec kariery sportowej. Ale wtedy nie myślałem o wyścigach czy rajdach. Zbyt bardzo męczyła mnie choroba, gips i chodzenie o kulach. Na szczęście trafiłem wreszcie w ręce doktora Łukasika i ten w krótkim czasie postawił mnie dosłownie „na nogi", jakkolwiek lewa nie wróciła do poprzedniej sprawności.

NARRATOR: A więc wreszcie kule poszły w kąt, można było w pełni włączyć się w rytm pracy biura konstrukcyjnego Warszawskiej Fabryki Motocykli. Nie myśli w tym momencie Jankowski o czynnym uprawianiu sportu. Wypadek i długotrwała choroba pozostawiły po sobie skazy na psychice. Choroba minęła — uraz pozostał. Na szczęście, nie na długo.

JANKOWSKI: Kiedy pomyślałem o powrocie do czynnego życia sportowego? Chyba gdzieś na początku 1954 roku. Zacząłem mnie ciągnąć znów na wyścigowe trasy. Nie przeczę, że grała w tym rolę podrażniona ambicja. Często przecież słyszałem różne powiedzonka w rodzaju: No i co, Jankowski jest już załatwiony odmownie.

NARRATOR: Jankowski zdawał sobie doskonale sprawę, że na motocykl już nie wsiądzie. Zainteresowania swoje zwrócił w kierunku czterech kółek. Zaczął się „uczyć samochodów". Połykał tomy fachowych książek i wreszcie przystąpił do projektowania „RAKA".

Największą trudność stanowiło zmontowanie samochodu. Pierwsze części wykonywał po godzinach pracy w WFM, choć krzywym okiem na to patrzono. Później, gdy stworzono Ośrodek Budowy SAM-ów w Warszawie, przeszedł tam ze swym „RAKIEM". Przeszedł zresztą nie sam, bo ze swym wiernym pomocnikiem, kolegą z WFM — Zbigniewem Kulczyńskim.

Czas płynął i praca powoli przyoblekała się w realne kształty. Wreszcie w listopadzie 1957 roku.... ale to już należy do następnego aktu.

AKT III

Jest listopadowy, trochę deszczowy dzień 1957 roku.

JANKOWSKI: Gdy usiadłem za kierownicą, pozbawionego jeszcze karoserii „RAKA", czułem się trochę dziwnie. No bo przecież samochód to nie motocykl. Zastanowiłem się wtedy i niemal zwątpiłem, czy dam sobie radę podczas walki na trasie. Jednakże to, że „RAK" podczas próbnych jazd spisywał się świetnie, trochę podniosło moje samopoczucie.

NARRATOR: Więcej niż Jankowski w siebie, wątpili w jego „come back" koledzy motocykliści, a przede wszystkim samochodziarze. To też, gdy w maju 1958 stanął na starcie eliminacji wyścigowej w Łodzi, zdawał sobie doskonale sprawę, że wzbudza w otaczających go ludziach przede wszystkim uczucie ciekawości. Podziw przyszedł później, po zwycięstwach w kraju i za granicą. Dziś Jerzy Jankowski nosi już oficjalny tytuł samochodowego, wyścigowego mistrza Polski i to w dwóch klasach. Mówi z ożywieniem o swych planach na przyszłość.

Właśnie w swoim wozie dokonuje poprawek konstrukcyjnych. Jednocześnie w ośrodku budowy SAM-ów przechodzą kurację dwa „KRABY" a jeden nowy jest na ukończeniu. Inż. Piechowski kończy też rysunki konstrukcyjne wozu Formuły III. Jeżeli uda się zdobyć silniki FIS, to wkrótce rozpocznie się produkcję tych samochodów. A więc powrót do życia sportowego przyniósł intensywne nasilenie pracy konstruktorskiej, pracy twórczej. I chyba to jest właśnie „happy end" historii Jerzego Jankowskiego.

EPILOG

Mniejsze i mniej groźne kontuzje są przyczyną końca kariery wielu sportowców. Siła woli i umiłowanie sportu jakie on wykazał zdumiewa i napawa optymizmem. I dlatego jestem pewien, że na wszystkich torach wyścigowych samochodowi z wymalowanym na przodzie czerwonym raczkiem towarzyszyć będzie zawsze sympatia kibiców i publiczności.

W. Koryccki

Samochód Jerzego Jankowskiego nazywa się „RAK" i ma wymalowanego na karoserii czerwonego raczka. Podobnego raczka ma na hełmie inż. Jankowski. Kibice motocyklowi pamiętają, że również w zamierzchłych czasach podczas wyścigów, lub rajdów na kasku ochronnym J. Jankowskiego widniał podobny znaczek. Tajemnica nie jest tajemnicą i „użytkownik" raczkowego znaczka chętnie wyjaśnia całą nieskomplikowaną symbolikę. Oto po prostu Jerzy Jankowski ujrzał światło dzienne pod znakiem Raka. I dlatego używa tego symbolu. Jako ciekawostkę trzeba podać, że również najbliżsi współpracownicy inżyniera Jankowskiego przy budowie „Raka" — technik Z. Kulczyński i mechanik J. Przybysz urodzili się pod znakiem tego smakowitego skorupiaka.

Wobec 8 tysięcy widzów

Polska—Izrael 58:41

Sukces koszykarzy w Tel-Aviv

TEL AVIV, 20.12. (tel. wł.). — 8.000 widzów oklaskiwało w poniedziałkowe popołudnie na stadionie przedmieścia stolicy Izraela — Ramagolu nowy, po zwycięstwach w Istambule, **piękny sukces naszych koszykarzy, którzy w międzypaństwowym spotkaniu POLSKA — IZRAEL zwyciężyły 17 punktami — 58:41 (35:12).**

Polacy przez cały czas meczu byli wyraźnie stroną dyktującą grę, choć przeciwnik, jak ocenili miejscowi fachowcy koszykówki, zagrał jedno ze swoich lepszych spotkań.

Po pierwszych paru nerwowych akcjach nasi koszykarze szybko opanowali się, rozbijając obronę strefową Izraelczyków przede wszystkim celnymi rzutami z dystansu w wykonaniu Nartowskiego i Wichowskiego. Potem gdy gospodarze przeszli na krycie każdy swego, rej w wykańczaniu akcji wodzili **Wichowski i Pacula.** Na akcje przeciwników oparte na grze na jednego środkowego lub bez środka — na zmianę odpowiadali zdecydowaną indywidualną obroną, w której świetnie walczyli przy zbieraniu piłek z tablicy. **W akcjach ofensywnych doskonale Polakom wychodził szybki kont-atak, z którego zwłaszcza w II połowie zdobyli większość punktów.**

Na 5 minut przed końcem spotkania Izraelczycy, wykorzystując mniej uważną grę, pewnych już zwycięstwa Polaków zdołali zmniejszyć różnice z 20 punktów do ośmiu. **Spotkali się jednak z natychmiastową ripostą. Nasi koszykarze w końcówce zagrali wręcz doskonale.**

W zespole naszym wystąpiło 8 zawodników, z tym że dwaj, którzy nie zdobyli ani jednego punktu, grali zaledwie po 2 minuty. Byli to **Pawlak i Piskun,** który zastąpił w 5 min. II połowy Dregiera, gdy ten musiał opuścić boisko za 5 przewinień osobistych.

Punkty dla Polski zdobyli: **Wichowski — 19, Nartowski — 13, Sitkowski — 11, Pacula — 8, Pst-okoński — 4, Dregier — 3. Wszyscy oni zagrali bardzo dobrze, tak że trudno specjalnie choć jednego z nich wyróżnić.**

Z reprezentacji Izraela najlepszymi koszykarzami byli **Kamiński i Hofman** (obaj po 10 punktów).

Spotkanie stało na dobrym poziomie, publiczność obiektywnie żywo reagowała na grę, która odbywała się na podłożu kortowym, przy dość silnym wietrze piłkami marki Spalding. Mecz prowadzili Polak Twardo z sędzią izraelskim.

Pierwszy nasz występ w Izraelu oceniono po meczu niezwykle dodatnio. Ocenę taką, potwierdzoną poniedziałkowym zwycięstwem, zdobyliśmy już zresztą tutaj, gdy dowiedziano się o naszych sukcesach istambulskich. Izraelczycy uważają bowiem, zresztą słusznie, zespół turecki za bardzo groźny, zwłaszcza na swoim terenie, na którym nie przegrał jeszcze żadnego spotkania międzypaństwowego.

T. Ulatowski

Na kilka godzin przed zwycięstwem

ZANIM jednak, dzięki staraniom warszawskich telefonistek, połączyliśmy się w poniedziałek po południu z naszymi koszykarzami (bezpośrednia linia Warszawa — Tel Aviv działa tylko jedną godzinę przed południem) odszukaliśmy ich tego dnia rano w hotelu Jarkon. Do telefonu zgłosił się kierownik ekipy wiceprezes PZKosz dyr J. Łysakowski:

— Świetnie, że dzwonicie, mamy już program naszego pobytu w Izraelu...

— Zaraz, chwileczkę, jak się czujecie, czy lot na trasie Istambuł — Tel Aviv był dobry?

— Wszyscy mamy się dobrze, mimo dłuższej aż o 6 godzin podróży. Zamiast w niedzielę po południu, dotarliśmy do Tel Avivu dopiero w niedzielę pod wieczór. Doznaliśmy tu bardzo serdecznego przyjęcia. Spotkaliśmy wielu znajomych z Jakubem Springerem b. naczelnikiem wydziału boksu GKKF. Pogodę mamy wymarzoną, po prostu panuje w Izraelu upał. Jak nam powiedziano w sobotę nie plaży było około 30.000 ludzi.

— Kiedy gracie pierwszy mecz?

— Już dziś, w poniedziałek o godz. 15.00 miejscowego czasu (w Polsce godz. 14.00). Będzie to oficjalny mecz międzypaństwowy Polska — Izrael. Wieczorem idziemy do kina na film „Most na rzece Kwai".

— A dalszy program?

— We wtorek wyjeżdżamy na cały dzień na wycieczkę do Jerozolimy. Sylwestra spędzimy w Tel Avivie. Drugi mecz gramy w dzień Nowego Roku w Tel Avivie. Przeciwnikiem naszych koszykarzy będzie miejscowa drużyna Hapoel, zajmująca w lidze II miejsce. Następne spotkanie rozegramy w sobotę 3 stycznia w miejscowości Incharot, z wiejską reprezentacją koszykarzy Izraela, która uczestniczy jako jeden z zespołów w rozgrywkach ligowych. Na niedzielę 4 stycznia udajemy się znów na wycieczkę, tym razem do Nazaretu, stamtąd zaś „przerzucimy" się do Haify. W poniedziałek 5 stycznia gramy w Haifie mecz z miejscowym Hapoelem (IV miejsce w lidze). Wreszcie na zakończenie naszego tournee, rozegramy piąte spotkanie, w środę 7 stycznia w Tel Avivie. Przeciwnik jeszcze nie znany. Przypuszczać należy, że będzie to jednak ponownie reprezentacja Izraela.

— A kiedy zamierzacie powrócić do kraju?

— Sądzę, że będziemy w Warszawie w piątek — 9 lub sobotę 10 stycznia. Nie mamy jednak jeszcze „zapiętych" połączeń samolotowych.

Dziękujemy bardzo za informacje, prosimy pozdrowić wszystkich uczestników wyprawy i życzyć naszym koszykarzom dalszych dobrych wyników w Nowym Roku 1959.

— Dziękujemy bardzo. Koszykarze bardzo proszą, „Przegląd Sportowy", aby przekazał od nich życzenia noworoczne — ich rodzinom, znajomym, narzeczonym, przyjaciołom, wszystkim kibicom koszykówki. Część z nich prosi specjalnie o pozdrowienie zespołu „Mazowsza".

— Uczynimy to w waszym imieniu, jeszcze raz wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, do następnego usłyszenia...

— Do usłyszenia...

Rozmawiał Szer

KRÓTKO O WSZYSTKIM

Turniej hokejowy w Łodzi

ŁÓDŹ, 20.12. (tel. wł.). Legia — Västeras (Szwecja) 5:1, (1:0, 3:1, 1:0). Bramki zdobyli dla Legii Gosztyła i Kurek — po 2, oraz Jezak, honorowy punkt dla gości zdobył Grönlund. Sędziowali Rybicki i Kwapień. Widzów ok. 3 tys.

Pojedynek Legii z Västerasem był niewątpliwie najciekawszym z dotychczasowych zmagań w łódzkim turnieju. Legia swą dobrą grą niemal całkowicie zrehabilitowała się za słaby występ niedzielny. Wszyscy bez wyjątku zawodnicy wojskowej drużyny grali bardzo ambitnie. Wprawdzie goście też zademonstrowali kilka ładnych akcji, ale nie były one popierane skutecznymi i celnymi strzałami. W tej sytuacji stroną nadającą ton grze była niewątpliwie drużyna Legii, w której, jak zwykle, rej wodził Kurek. W zespole gości pod nieobecność chorego Johanssona najlepszym zawodnikiem był V. Ohrlund.

W drugim meczu Banik Chomutov pokonał zdecydowanie ŁKS 11:2 (5:1, 4:0, 2:1). Bramki dla gości zdobyli Černy, Hrisbal i Mátyš po 2, Volak, Kaftan, Kolars, Klima i Vysocky po 1, dla ŁKS — Chodakowski i Zieliński.

W poniedziałek, obradował w Łodzi zarząd PZHL, który ostatecznie zadecydował o terminie i miejscu spotkań Polska — NRD. **Pierwszy mecz obu reprezentacji rozegrany będzie w Warszawie 10 stycznia, a 11 w Łodzi oba zespoły spotkają się w meczu rewanżowym.**

(mw)

Poznań — Paryż 14:19 w „siódemce"

POZNAŃ, 20.12. (tel. wł.). Drugi występ francuskich piłkarzy ręcznych w Polsce zakończył się ich zasłużonym zwycięstwem nad reprezentacją siódemką Poznań'a 19:14 (5:9). Bramki dla Paryża zdobyli: Chastanier — 8, Ibanez — 3, Leroy — 3, Pichot — 2, Dumont — 1; **dla Poznania:** Wiecanowski — 3, Łopatka — 3, Graczyk — 2, Karpiński — 2, Sowiński — 2, Rajewicz — 1, Terkacz — 1. Widzów 600 osób.

Zespół gości przewyższał swoich przeciwników tak grą techniczną jak i taktyczną, imponował jednocześnie dobrą grą w polu. Najlepszymi zawodnikami Paryża byli **Pichot, Chastanier, Ibanez i Leroy.**

Drużyna poznańska oparta na zawodnikach AZS i Startu Gniezno mogła się podobać jedynie w pierwszej połowie. Gospodarze zagrali co prawda w pierwszych minutach bardzo nerwowo, ale kiedy minął ten pierwszy okres zdołali oni z 1:4 wyciągnąć na 9:5.

Po zmianie stron drużyna gospodarzy nie wytrzymała kondycyjnie i niepotrzebnie forsowała grę środkiem boiska. Coraz trudniej było im dojść do strzału, a tymczasem goście przejawszy inicjatywę zaczęli bombardować bramkę. Poznania i nie dziwnego, że szybko objęli prowadzenie. Tym niemniej bramkarz Dera zasłużył na pochwałę, gdyż obronił wiele groźnych i silnych strzałów napastników francuskich. (ol.)

Australia — USA 1:1

BRISBANE. Wobec 18 tys. widzów rozpoczęło się w poniedziałek w Brisbane finałowe spotkanie o Puchar Davisa Australia — USA. Po pierwszym dniu wynik spotkania brzmi 1:1. Grający w drużynie USA Peruwiańczyk Alex Olmedo niespodziewanie pokonał Andersona 8:6, 2:6, 9:7, 6:3, a mistrz Wimbledonu Ashley Cooper wygrał z Amerykaninem Barry Mac Kayem 4:6, 6:3, 6:2, 6:4.

Zwycięstwo młodego Olmedo nad Andersonem było sensacją dużego kalibru. Olmedo wygrał przede wszystkim dzięki wspaniałemu atakowi oraz serwisowi. Anderson nie wytrzymał kondycyjnie tego ciężkiego pojedynku. We wtorek odbędzie się gra podwójna. W drużynie USA wystąpią Olmedo i Richardson, natomiast skład debla australijskiego nie jest znany.

Dla tołkowiczów brakujące wyniki ligi angielskiej z 20 grudnia

Odpowiadając na listowne i telefoniczne prośby naszych Czytelników-tołkowiczów, prowadzących zestawienie rezultatów ligi angielskiej, podajemy brakujące wyniki z dnia 20 grudnia, nie zamieszczone w „PS" w odpowiednim terminie:

Barnsley — Cardiff 3:2, Brighton — Middlesbrough 4:6, Bristol Rovers — Leyton 1:3, Derby — Huddersfield 3:1, Grimsby — Liverpool 2:3, Ipswich — Scunthorpe 3:1, Rotterdam — Bristol City 1:2, Sheffield United — Charlton 5:0, Stoke — Fulham 4:1, Sunderland — Lincoln 2:0, Swansea — Sheffield Wednesday 4:0.

W Konkursie — Plebiscycie „PS"

Ponad 25.000 kuponów na tydzień przed zamknięciem głosowania

GORĄCZKĘ plebiscytową wyraźnie odczuwamy w naszej redakcji, bowiem każdy dzień przynosi nam stosy. kopert z wypełnionymi kuponami. Zebrała się ich ogólnie już olbrzymia gromada. **gdyż zarejestrowaliśmy do dnia dzisiejszego ponad 25.000 ważnych kuponów. Ważnych, tzn. przesłanych na kuponach wyciętych z „PS".** Jedyny wyjątek zrobiliśmy w poniedziałek dla Czytelnika z Lipska, Stefana Skrzypka, który pisze nam:

„Z powodu braku dostatecznej ilości „Przeglądu Sportowego" w Lipsku, pozwalam sobie brać udział w Waszym Konkursie-Plebiscycie na prowizorycznym kuponie. Mam nadzieję, że redakcja uwzględni ten wyjątkowy stan rzeczy".

Uwzględniliśmy tę prośbę, natomiast nie możemy robić wyjątków dla Czytelników krajowych, kto więc wypełnił prowizoryczny kupon, nie ma ani chwili do stracenia, bo do terminu zamknięcia głosowania pozostało ledwie 7 dni.

Głosowanie zamykamy w dniu 5 stycznia, kto więc nadeśle kupon po tym terminie — spóźni się. Kto więc nie wypełnił jeszcze kuponu, niech uczyni to natychmiast.

Przypominamy, że oficjalne ogłoszenie wyników plebiscytu nastąpi w sobotę, dnia 10 stycznia na tradycyjnym Balu Mistrzów Sportu (w restauracji Kongresowej), niewiele więc pozostanie nam czasu od dnia 5 stycznia na dokonanie obliczenia punktów z poszczególnych kuponów, a wiemy z doświadczenia, że w ostatnie dni głosowania przysyłają nam mnóstwo kuponów.

W dzisiejszym numerze „PS" znajdziecie jeszcze kupon. Na prośbę licznych naszych Czytelników zamieszkałych w Warszawie, zamieszczamy jeszcze dodatkowo kupon w sobotnim numerze „PS" z dnia 3 stycznia. Praktycznie biorąc będzie on użyteczny tylko właśnie dla mieszkańców stolicy i najbliższych jej okolic. Łatwy stąd wniosek dla naszych Czytelników, zamieszkałych z dala od Warszawy: trzeba wysłać wypełniony kupon jak najszybciej!

Dla wygody Czytelników, zamieszkałych w Warszawie, którzy chcieliby osobiście doręczyć kupony, ustawiony w naszym lokalu specjalny kosz, gdzie będzie można wrzucać kupony w dniach 2, 3, 4 i 5 stycznia w godzinach od 16 rano do 8 wieczór. Kosz ustawiony będzie w redakcji przy ul. Mokotowskiej 24, III piętro.

Listy z kuponami nadesłali ostatnio z zagranicy następujący Czytelnicy:

Anglia: **Teodor Splittstoesser** (Birmingham), **Antoni Smordowski** (Londyn),

Litewska SRR: **Eleonora i Władysław Gryszkiewiczene** (Kowno),

Ukraińska SRR: **Walerij Kiriczenko** (Czernichów),

Białoruska SRR: **Piotr Żyliński** (Mińsk),

NRD: **Werner Karol Durczok i Stefan Skrzynek** (Lipsk), **Celina, Henryk i Hieronim Kaczmarek** (Berlin-Neukoelln).

KUPON
KONKURSU—PLEBISCYTU

„PRZEGLĄDU SPORTOWEGO"
NA 10 NAJLEPSZYCH SPORTOWCÓW POLSKICH
W 1958 R.

1. . . . . 10 pkt.
2. 9
3. 8
4. 7
5. 6
6. 5
7. 4
8. 3
9. 2
10. 1

Imię i nazwisko głosującego . . . . . .

. . . . . .

Adres . . . . . .

. . . . . .

Prosimy: wyciąć kupon, wypełnić go czytelnie i wysłać w terminie do dnia 5 stycznia 1959 r. pod adresem: Redacja „Przegląd Sportowy", Warszawa, ul. Mokotowska 24, skrz. poczt. nr 181 — z dopiskiem na kopercie: Konkurs-Plebiscyt.

ULTRA-gum...?
do nabycia
we WZORCOWYCH SKLEPACH CHEMICZNYCH, APTEKACH, drogeriach, perfumeriach i mydlarniach MHD, w DOMACH TOWAROWYCH, w sklepach wiejskich SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ i w kioskach „RUCHU"

PRZEGLĄD SPORTOWY

Nr 207—209 Warszawa 30.XII.1958 r.

Od PICADORA

JAK zwykle równo ze świtem skrzypnęły drzwi stajni. Janek nie gwizdnął starym zwyczajem u wejścia, ale jakoś nerwowo i jakby niepewnie zbliżał się do boksu, z którego wysunęła się piękna głowa konia, witającego swego pana radosnym rżeniem. Koń spokojnie oczekiwał na swoją porcję cukru i byłby niczego się nie domyślał, gdyby nie zmieniony smak cukru, zasolonego łzami, rzęsiście kapiącymi z oczu Janka.

Chłopca nie stać było na przedłużanie chwili pożegnania ze swym największym przyjacielem, wypadł więc jak burza ze stajni, schwycił za stojącą na dworze walizeczkę i ruszył na stację, by opuścić na zawsze te strony, gdzie się urodził i wychował, aby pojechać na zachód, jak to się popularnie mówi „w ramach łączenia rodzin".

Parę miesięcy później dyrektor stadniny przyglądał się komuś uważnie przez okno kancelarii. Ależ tak. Teraz widzi już wyraźnie — toż to Janek. Nie do wiary, co ten chłopak tutaj robi?

Janek tymczasem postawił na środku podwórza walizeczkę i pobiegł do stajni, na której progu powitało go, jak niegdyś, tęskne rżenie konia.

Historia powyższa nie jest zmyślona, ale jest znana w powojennej rodzinie jeździeckiej jako dowód wielkiego przywiązania jakim człowiek darzy wierne i najbliższe mu zwierzę — k o n i a.

PICADOR

Picador nie miał lekkiego życia. Mógłby o tym powiedzieć tylko ten koń, który przeszedł całą kampanię wojenną w służbie taborów. Tym bardziej zaciął się wobec wszelkich prób młodego zapaleńca, który chciał za wszelką cenę zrobić z niego sławę sportową. W uporze Picadora było coś z zacięcia i charakteru wielkiego zawodnika i widać ocenił to w nim porucznik Królikiewicz, skoro nie przejmował się i pragnął przekonać swego nowego przyjaciela o czystości swoich zamierzeń.

Nadszedł czas, kiedy były taboryta zrozumiał, że ten człowiek jest mu przyjacielem, że darzy go niebywałym kredytem zaufania. Nadszedł czas rewanżu. „Toskańskie cygaro", jak ochrzciła Picadora pewna Włoszka, z racji niebywałej brzydoty mistrza nad mistrze, zaczęło zdobywać dla swego pana laury, wkładając w walkę sportową nie tylko duży zasób uzdolnienia, ale przede wszystkim ambicji i końskiej inteligencji.

Nic też dziwnego, że nagrody zaczęły się sypać jak z rogu obfitości, imię Picadora i jego jeźdźca wymawiane było z podziwem na hipodromach świata, a starty na najsłynniejszym naówczas hipodromie nicejskim były wkrótce zabronione garbonosemu brzydalowi, zgodnie z dziwnymi przepisami tego toru, które nie dopuszczały do startu koni, które w Nicei wygrały już łącznie określoną wysokość nagród.

Nim się jednak Picador doczekał „nicejskiej eksterminacji" wolno mu było startować w konkurencji, ale nie na warunkach jak równy z równymi, bo też nie było mu równych.

Kiedy w roku 1925 szła walka o najwyższe trofeum — Puchar miasta Nicei, a o zaszczytny ten tytuł walczyło 130 koni, **wjeżdżającego w szranki Picadora komisja sędziowska „wyróżniła" podniesieniem przeszkód o 20 cm i poszerzeniem rowów o pełny metr. Nie pomogło. Puchar po raz drugi zdobył Adam Królikiewicz na Picadorze.**

LISTA BEZ KOŃCA

Picador stał się symbolem w naszym jeździectwie. Złożyło się na to nie tylko długie pasmo zwycięstw, ale również i pierwszy, nie powtórzony dotąd, medal olimpijski w skokach przez przeszkody w Paryżu 1924 r.

W tym okresie przewijają się pod polskimi jeźdźcami, na hipodromach świata konie o nazwach obcych, często trudnych do wymówienia jak: **Qui, Vive, Faworyt—Gawot, Morinus, Unigeno, Redgledt, Rewoliff, The Hoop, Black-Boy itd.** Każdy z tych koni to osobna karta chwały polskiego sportu i polskich jeźdźców, którzy jak nikt inny na świecie poza wrodzonymi zdolnościami odznaczali się wielką miłością do konia, co im ten ostatni odpłacał z nawiązką. Konie te to przeważnie przybłędy z różnych zakątków świata, byli kombatanci armii sprzymierzonych i armii państw centralnych. Zamiast skończyć niesławnie swój żywot w rękach handlarzy, oddały swe usługi dla dobra polskiego sportu.

Czas leciał, koniki się starzały, a że i wtedy również nie było łatwo o dewizy, zaczęto oglądać się na własną hodowlę. **Nasze konie nie mając wrodzonych talentów skokowych, wykazywały się znaną odpornością na trudne warunki i wytrzymałością. Stąd pojawiają się sukcesy w nowej konkurencji — military — znanej dzisiaj jako wszechstronny konkurs konia wierzchowego — konkurencji ciężkiej, trwającej przez trzy dni.**

Przyszły dwa medale olimpijskie w tej konkurencji, ale w Berlinie...

TO NIE BYŁO FAIR

W Olimpiadzie 1936 roku Polacy mieli wszelkie szanse zdobycia złotego medalu. Takie sławy jak: **Kulesza, Roycewicz i Kawecki** to ekipa, której zazdrościł nam cały świat. Dobrze wiedzieli o tym organizatorzy. **Kiedy Roycewicz był na trasie crossu, stojący przy przeszkodach hitlerowscy żołnierze zaczęli mu dawać znaki, że coś jest nie w porządku. Obejrzawszy pobieżnie w galopie rząd końskich, zawodnik polski stwierdził, że wszystko jest dobrze i galopował dalej. Ale przy każdej następnej przeszkodzie tajemnicze znaki powtarzały się i nagle przed jedną z nich wyrósł rząd żołnierzy, zagradzając drogę Polakowi.**

— Pan ominął dziesiątą przeszkodę. Rotmistrz Roycewicz mimo przekonania, że wszystko jest w porządku zawrócił w obawie przed dyskwalifikacją ze świadomością jednak poważnej straty czasu. Kiedy przybył na miejsce, sędzia przy przeszkodzie przeprosił go, że to... pomyłka.

Taka „pomyłka" kosztowała polską ekipę złoty medal (Polacy zdobyli wtedy srebrny), a Roycewicza medal indywidualny. Nie pomogły protesty szefa ekipy, na nic zdała się brawurowa jazda w skokach przez przeszkody całej trójki Polaków, a w szczególności jadącego z połamanymi żebrami Kaweckiego. **Gospodarze osiągnęli swój cel.**

MAŁA RZECZ, A... RADOŚĆ

W roku 1937 odbywały się w Gdańsku konkursy z udziałem ekip polskiej i niemieckiej. Nie widziano jeszcze tak zaciętej rywalizacji. W jednym z najcięższych konkursów startowało ponad 100 koni. Parcours był bardzo trudny, mimo to wielu jeźdźców przebywało go czysto, a czas prowadzącego w konkurencji był tak wyśrubowany, że wydawało się, iż jeździec Temme na klaczy Nordland zostanie zwycięzcą. Na centralnym maszcie stadionu powiewała flaga ze swastyką — barwy tymczasowego zwycięzcy.

Jadący na Zbiegu Janusz Komorowski robi czysty przebieg. Wszyscy czekają na ogłoszenie czasu. Westchnienie ulgi z pierśi hitlerowskich kibiców było świadectwem, że biało-czerwona flaga nie zastąpi swastyki na maszcie. Lista zawodników jeszcze się nie skończyła, a już zaczęły zapadać ciemności. Komisja sędziowska zdecydowała się na start pozostałych konkurentów w dniu następnym. Tylko przygotowany już do wjazdu w szranki jeździec miał prawo wyboru dnia startu.

Chwila oczekiwania publiczności i oto poprawiając rogatywkę ukazuje się młody jeździec polski, który rusza jak burza na przeszkody. Na stadionie zrobiło się cicho. Tempo i fantastyczne skróty trasy znamionowały, że oto jedzie wielki mistrz. I rzeczywiście Staszek Wołoszowski w pełni zasługiwał na to miano. Jego Astra przeniosła go nad nietkniętymi przeszkodami w czasie o 3 sekundy lepszym od Nordland, a polska część widowni wpadła w szał radości, gdy ściągnięto swastykę, a na jej miejscu zaczęła powiewać nie pobita już do końca biało-czerwona flaga.

RADOŚĆ BYŁA KRÓTKA

I oto nadszedł czas, że konie o polskich nazwach zaczęły odnosić triumfy, nie tylko w military, ale w skokach. **Warszawianka, Dunkan, Zbieg, Zuch, Dyngus, Bohun, Tośka, Reszka, Roksana, Moja Miła, Lwi Pazur, Arlekin, Poluś** i wiele, wiele innych, to nasze polskie konie, które zapisały sławę polskich jeźdźców.

Przyszedł rok 1939. Swastyka, którą Wołoszowski brawurową jazdą ściągnął z masztu w Gdańsku, rzuciła cień na całą Polskę. Konie zaprzestały walki sportowej i poniosły swoich jeźdźców w wir nierealnej częstokroć walki żywej istoty z pancerzem.

PREGOR

Nie zapomnieliśmy o sporcie wielkich w naszym kraju tradycji. Obudziło się polskie jeździectwo. Czekamy, może trochę niecierpliwie na coraz większe sukcesy, ale pamiętajmy, że przez blisko 20 lat, kiedy polski jeździec nie dosiadał konia, konkurenci całego świata pracowali nad podniesieniem poziomu tej dyscypliny sportu.

W stajni Ośrodka Jeździeckiego PZJ w Poznaniu wychylają się z boksów zgrabne łby końskie. To śmietanka, to nadzieja na nasze sukcesy. Stoją tu: **Pregor, Mitrydat, Ekspresja...** To nie puste i nic niemówiące nazwy. Konie te znane są już ze startów i zwycięstw w Nicei, Rzymie, Bukareszcie, Budapeszcie i Lipsku. Obok ich następcy, równie dobrze się zapowiadający: **Lajkonik, Urugway** i inne.

Czy spełnią nasze nadzieje? Czy przejmą tradycje swych sławnych poprzedników zagubionych w wojennej zawierusze? Chyba tak. Nie ustępują im bowiem, a nawet — jak twierdzą fachowcy — mają lepsze wrodzone warunki. Ponadto mają również tę samą co tamte — troskliwą opiekę ze strony uznanych za najlepszych na świecie, polskich trenerów. W owe pewne trenerskie ręce owiani młodocianym zapałem i polskim „wariactwem" do konia, poszli, rzucając intratne posady: magistrzy, inżynierowie, technicy, aby jeździć, aby być stale z koniem, bez którego nie mógł wyobrazić na obczyźnie Janek.

Witold Domański

Picador ze swoim jeźdźcem.

po PREGORA

Zakopane widziało już po wojnie dwa razy polskich jeźdźców, którzy nawiązali do dobrych tradycji zimowej zaprawy. Na zdjęciu zdobywca Pucharu miasta Zakopane Jan Kubiak.

Fot. W. Werner — CAF

Dziewięć obiektywów

ROK minął niemal tak szybko, jak bieg Makomaskiego z Courtney'em. Przez ten czas kibice oglądali swych ulubieńców na bieżniach, boiskach, ringach, planszach i... łamach pism sportowych.

Gdy ich drużyna przegrywała, wychodzili ze stadionów rozgoryczeni, zawiedzeni i często z mocnym postanowieniem, że już na następny mecz nie przyjdą. Jednak za tydzień, lub dwa, trybuny znowu trzeszczały od nadmiernego obciążenia.

Dobry, „prawdziwy" kibic, to człowiek, który niejednokrotnie pomaga swej drużynie, swojemu zawodnikowi sportowym zachowaniem i atmosferą, którą potrafi stworzyć na stadionach. To jest dobry kibic.

Niestety, wśród wielotysięcznej rzeszy kibiców znajdują się ludzie, którzy swoim zachowaniem wprowadzają atmosferę, nie mającą nic wspólnego ze sportem.

Nasz konkurs fotograficzny pt. „Dziewięć obiektywów" ma na celu pokazanie tych dobrych i tych złych. Traktujemy go jak pewnego rodzaju noworoczny upominek, który (mamy wrażenie), jednych jeszcze bardziej zdopinguje do sportowego zachowania, a drugim pokaże jak nie powinno się zachowywać na zawodach sportowych.

Czytelnicy, którzy poznają się na zdjęciach umieszczonych w obiektywach, zakreślą swoją podobiznę krzyżykami i wycięty obiektyw wraz z podaniem, na jakiej imprezie sportowej zostało zrobione im zdjęcie — prześlą pod adresem Przeglądu Sportowego, otrzymają nagrodę: oryginalne zdjęcie w formacie 13 x 18.

Fotografował i opracował

M. Szymkowski

A nie mówiłem, że Wala będzie pierwsza?

„Sowiecki Sport"

TOMASZ DOMANIEWSKI

DZIŚ chciałem o wnukach, choć o dziadkach można by jeszcze długo. Uprzedzam — wyłączam z tych wspomnień Staszka Marusarza. On jeździł i startował z dziadkami — startował również z wnukami. Staszek to w ogóle osobne zagadnienie, a zresztą... wiele się o nim pisało; nie potrzebuje przypomnienia.

OBIECUJĄCY juniorzy... Kiedyś, tuż przed wojną, takim obiecującym juniorem był nieduży, malomówny chłopaczyna z upartą szczęką. Obijał się po Lipkach, gapił z uwielbieniem na starszych, na Berycha Wowkonowicza, Orlewicza; latał im po bułki na Krasnusie i patrzał, patrzał, patrzał, jak to oni robią, że gonią po trasie i starcza im siły. Potem przyszła wojna i mały Józek zniknął z horyzontu; dochodziły tylko wieści, że w Szwajcarii jeden z internowanych Polaków, Józef Daniel Krzeptowski odnosi duże sukcesy.

Tak, to był ten sam. Po wojnie wrócił do rodzinnego Zakopanego i przez długie lata był naszym czołowym kombinatorem, wielokrotnym mistrzem Polski i olimpijczykiem. Dziś Wielce Szanowny Pan Józef poszedł już w old-boye, ale ile razy go w Zakopanem zobaczę — zawsze przypomina mi się ta scenka gdzieś na Buńdówkach czy w Księżym Lesie, kiedy mały Józek stoi obok trasy i patrząc na przebiegającego Karpiela — podświadomie naśladuje jego ruchy, machinalnie przybiera jego postawę, głęboko, jak on, dyszy.

ALBO — też przed wojną — jeden ze slalomów w Suchym Żlebie na Kalatówkach. Startowałem i ja w tym slalomie, choć jak zwykle bez powodzenia. Wspinaliśmy się do góry, na start, a obok nas — jak to zwykle — czereda mikrusów w obszarpanych portkach, dla których największym zaszczytem było wnieść któremuś zawodnikowi narty na górę. I już nie pamiętam do którego z zawodników — do Tadzia Schiellego, czy też może Staszka Birtusa — przyczepił się taki zasmarkany pędrak, że on koniecznie poniesie.

— A nie podźwigasz się Jasiu?

— Niii...

Wyniósł wtedy Jasio na górę narty i ogromnie miał rozanielone oczy. A po wojnie, na jednym ze slalomów w Suchym Żlebie znaleźliśmy się razem z Tadziem Schiele... Jako widzowie, bo to nie te czasy i nie to ciało. Staliśmy sobie obok trasy — do góry podchodzili zawodnicy. I w pewnym momencie spojrzeliśmy po sobie z Tadziem, podjechali do jednego z nich, który pracowicie wspinał się na start...

— Daj no Jasiek te narty; poniesiemy ci je.

Wynieśliśmy wtedy te narty na górę Jaśkowi i ogromnie byliśmy wzruszeni i bardzo wspominaliśmy młodość i szalenie był zażenowany tym wszystkim mistrz Polski Jan Ciaptak Gąsienica.

ALBO najmniejszy skoczek świata — Jan Kula. Gdzie by się nie pokazał — tam wzbudzał furorę, bo wszyscy widzowie się wzruszali, że takie dziecko, a skacze razem ze starszymi. Jasio do ostatnich swoich starto w, kiedy miał już dobrze ponad trzydziestkę, w opinii publicznej ciągle był na prawach dziecka. Tyle, że to dziecko było — moim przynajmniej zdaniem — jednym z najbardziej stylowych skoczków świata. Bywało, w jego najlepszym okresie, że wiał wiatr. Takiemu Staszkowi Marusarzowi, chłopu jak się patrzy, wiatr nie tak znowu bardzo przeszkadzał, ale Jasiowi... Satysfakcją było patrzeć, gdy Jasio na podmuchach żeglował po prostu w powietrzu, a potem leciutko — jak listek chciałoby się rzec — opadał na spad z niepowtarzalnym wdziękiem.

ACI, których już nie ma na świecie. Pokolenie, które dorosło akurat na wojnę i przed wojną nie uciekło.

Marian Zając — największy chyba talent zjazdowy w historii naszego narciarstwa; jednocześnie zaś najskromniejszy i najpracowitszy zawodnik jakiego znałem. To o nim opowiadali, że trenuje związawszy sobie szalikiem kolana dla wyrobienia stylu. To Maniek wynalazł w Reglach Spadowiec — upiorne zbocze, strome jak wielkie nieszczęście, najeżone pniakami, wykrotami i muldami — gdzie dzień w dzień trenował jak dziki. A Spadowiec, to nie był stok pod Nosalem, troskliwie przygotowywany przez specjalne ekipy depta czy. W Spadowcu trzeba było sobie samemu wydeptać trasę, samemu tu i owdzie ustawić gałęzie zamiast tyczek, samemu — bez wyciągu — drapać się dziesiątki razy do góry przez kwadrans, aby w niecałą minutę zjechać.

Marian nie doczekał sławy, na jaką zasługiwał. Znalazł się w Anglii, w lotnictwie. Taki sam jak w Zakopanem: cichy, spokojny, koleżeński. Nie wrócił z któregoś tam lotu nad Północnym Atlantykiem.

Wielu nie wróciło w rodzinne Tatry. Niektórzy polegli — inni zostali na zawsze za granicą. Tych ostatnich nie było zresztą wielu — trudno było nie wracać do Zakopanego.

ANDRZEJA MARUSARZA pamiętacie? Zawsze go zaćmiewał sławą wielki kuzyn, Staszek. Ale i Andre był przecież wspaniałym narciarzem; nie trzeba chyba przypominać jego sukcesów w kombinacji klasycznej. Był równie dobry w skokach jak w biegach. Otóż z nim właśnie miałem takie dziwne może trochę, ale jakże dla pewnego okresu typowe spotkanie.

To było chyba w czterdziestym szóstym roku. W Marsylii. Jechałem samochodem w dół, do starego portu ulicą Canebierre, gdy nagle ktoś podniósł na chodniku nieopisane larum. Po polsku! Zahamowałem, obejrzałem się — przez tłum przepychał się ktoś znajomy; właśnie Jędrek. Żaden z nas się oczywiście zbytnio nie zdziwił, bo w tych czasach najbardziej nieprawdopodobni Polacy spotykali się w o wiele mniej prawdopodobnych punktach globu, niż Marsylia. Ucieszyliśmy się jak wariaci, bo spotkanie swojaka to nieziemska frajda.

Andre pływał wtedy jako palacz na amerykańskim statku, który akurat zawinął do Marsylii. Spieszył się z powrotem na statek, więc zamieniliśmy tylko kilka pośpiesznych słów i umówiliśmy się na wieczór.

Do spotkania doszło, ale dopiero w parę lat później, w Zakopanem.

— Dlaczego wtedy, w Marsylii nie przyszedłeś? — zapytałem z lekką urazą.

— Zapudlili mnie za coś tam... — odparł Andrzej — i nie udało mi się uciec, a potem nie wiedziałem, gdzie cię szukać.

Dziś Andrzej już nie pływa, ani na amerykańskich, ani na polskich statkach. Wrócił do Zakopanego, trenuje młodych w jednym z klubów.

O niegdysiejszych śniegach można nieskończenie. I myślę, że warto jeśli nie nieskończenie — to w każdym razie więcej. Kroniki naszych dziadków pogrążają się w niepamięć, zacierają się wspomnienia. Powoli przechodzą też do legendy kroniki wnuków, którzy dziś już zaczynają swe dzieci trenować do przyszłych sukcesów. Jeszcze chwilka, a młodzi Marusarze, Bachledy, Pawlice, Ciaptakowie i Roje przejmą sławę swych ojców na białych trasach.

Myślę, że o przeszłości warto pamiętać, nie tylko przy okazjach noworocznych, ale i na codzień. No, bo gdyby nie było naszych ojców — nie byłoby, z niewielkimi wyjątkami, również i nas.

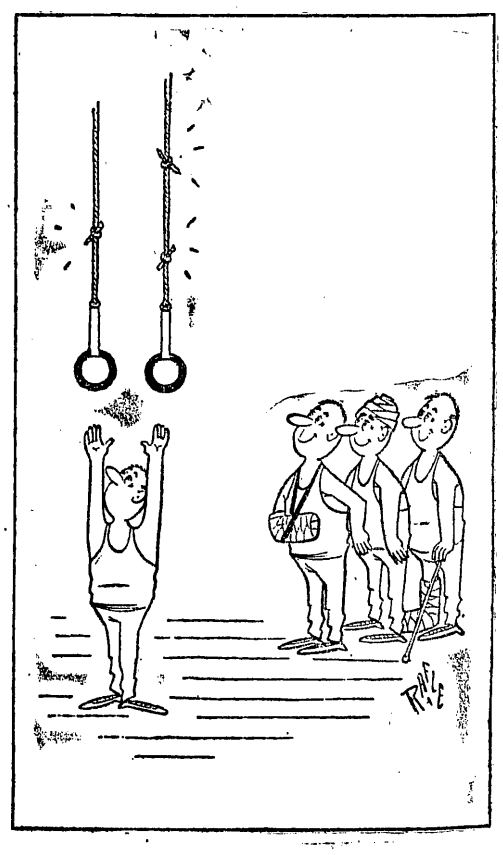

„Sport et Vie" Paryż